

Rok XXIV

Nr e-3 (237)

Marzec 2010

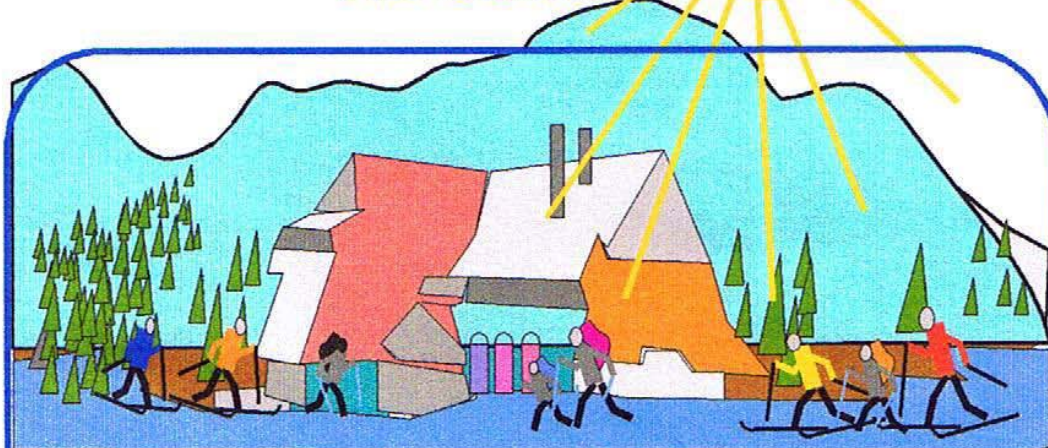
# NA SZLAKU

Turystyka - Krajoznawstwo - Góry

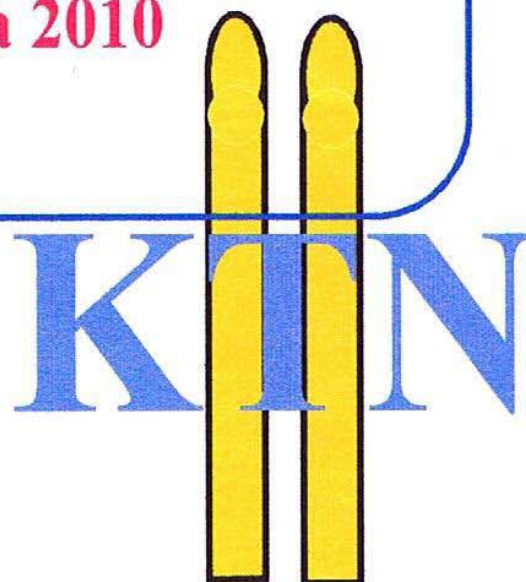
Czasopismo Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego



# X ŚLADOWE SPOTKANIE CZYTELNIKÓW I SYMPATYKÓW "Na Szlaku"



**GORCE**  
**SCHRONISKO PTTK**  
na Turbaczu  
4-7 marca 2010



patronat: "Na Szlaku" i KTN PTTK  
[www.naszlaku.pttk.pl](http://www.naszlaku.pttk.pl)  
**ZAPRASZAMY**

zgłoszenia przyjmuje: Andrzej Stróżecki  
a-str@o2.pl, tel: 32 671 31 77  
lub bezpośrednio w schronisku  
18 266 77 80 lub 0 602 118 889  
pp. Bogumiła i Aleksander Długopolscy

# NA SZLAKU

## Turystyka - Krajoznawstwo - Góry

Czasopismo Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego

### SPIS TREŚCI

#### *Z naszego regionu*

Z wizytą w Henrykowie .....	- Liliana Narkowicz .....	4
Kościół obronny okolic Wrocławia (5) .....	- Jerzy Maciejewski .....	7
Park dworski w Pisarzowicach .....	- Krzysztof Tęcza .....	9
Pałac Tielscha w Wałbrzychu (2) .....	- Wojciech Tumidajewicz .....	11
Niezwykli mieszkańcy dawnego Oppeln .....	- Izabela Kopeć .....	12
Imprezy świdnickie .....		14

#### *Ojczyste szlaki*

Fitakowe Źródło .....	- Wrzেষław Mechło .....	15
Sławki – szkice z dziejów wsi do 1939 r. ....	- Krzysztof Kowalkowski .....	16

#### *Globtroter*

Swanecja .....	- Janusz Fuksa .....	19
Srinagar – lądowo-wodne miasto .....	- Krzysztof R. Mazurski .....	23
Jacek Kudłaty opuścił Australię .....		25

#### *Z turystycznych kręgów*

Turystycznie we Wrocławiu .....	- Wojciech Radliński .....	27
35 lat Klubu „Karpaty” .....	- Juliusz Wystouch .....	28
Krajoznawstwo szkolne w Gdyni .....	- Alicja Wrzosek .....	30
Nowoczesna ekspozycja muzealna w Toruniu .....		33

#### *Ekologia na szlaku*

Bez tras, lecz z porozumieniem .....	- Jacek Bożek .....	34
Poleski Park Narodowy .....		35
50-lecie złotów na Wielkiej Sowie .....	- Wojciech Tumidajewicz .....	35

#### *Poradnik turysty*

Zima – wypadki i przyczyny .....	- Juliusz Wystouch .....	36
----------------------------------	--------------------------	----

#### *Na kolekcjonerskim szlaku*

Co kolekcjonujemy (2) .....	- H.P. ....	38
-----------------------------	-------------	----

#### *Sylwetki „Na Szlaku”*

Józef Mackiewicz (1902-1985) .....	- Andrzej Rumiński .....	40
------------------------------------	--------------------------	----

#### *Recenzje, nowości*

Nowy przewodnik po ziemi kłodzkiej .....	- Krzysztof R. Mazurski .....	42
Przewodnik po Głogowie .....	- Krzysztof R. Mazurski .....	43
Z regionalnej półki bibliotecznej .....	- Elżbieta M. Horowska .....	44
Statystyki serwisu „Na szlaku” .....	- Webmaster .....	45

#### *Listy, opinie, dyskusje*

Ku pamięci Tadeusza Stecia .....	- Krzysztof R. Mazurski .....	46
Upamiętnianie Tadeusza Stecia .....	- Jerzy K. Bieńkowski .....	47

Na okładce: Zakład Przyrodolecznicy „Wojciech” w Łądku-Zdroju. Fot. Piotr Dacko

Liliana Narkowicz (Wilno-Dortmund)

## Z wizytą w Henrykowie

**W** dolnośląskiej wsi Henryków (w odległości 54 km na południe od Wrocławia), leżącej na Przedgórzu Sudeckim, zamieszkał po przejściu na emeryturę szanowany przez wiernych z Wilna i ziemi wileńskiej, o których pamięta nie tylko w modlitwie, były metropolita wrocławski JE kardynał Henryk Roman Gulbinowicz. Wielki to dla nas zaszczyt mieć w tak dostojnej i zasłużonej osobie ziomka. Dlatego tak bardzo cieszy fakt, że przynajmniej na emeryturze doczekał się największego odznaczenia państwowego – Orderu Orła Białego.

W budynku poklasztornym, w którym obecnie mieści się Filia Metropolitalnego Seminarium Duchownego z siedzibą we Wrocławiu, kardynał ma swój apartament. A spacerując dziewiętnastowiecznym parkiem angielskim dotrzemy i do zabytkowego budynku pustelni – kardynałowskiego miejsca samotnej modlitwy i kontemplacji. W zimie Henryk Gulbinowicz woli jednak przebywać we Wrocławiu, bo od sześćdziesięciu lat jest związany z miastem nad Odrą, w którym przybyszy ze Wschodu, z byłych dawnych Kresów, nie brakuje. Pomimo 86. krzyżyka życia ksiądz emeryta nadal pełni obowiązki duszpasterskie, prowadzi rozległą korespondencję, dużo czyta, pisze, systematycznie ćwiczy pamięć.

Urodził się w Wilnie, w szpitalu św. Jakuba. Ilekroć prywatnie rozmawiamy, z dumą o tym fakcie wspomina. Również o tym, że obraz Matki Boskiej widziany po raz pierwszy w Ostrej Bramie (miał wtedy zaledwie kilka lat) przerażał go swoim ogromem. Zapamiętał, że kiedy siedł z matką po Wilnie za rękę, minęły ich dwie młode kobiety w ciemnych strojach: Faustyna Kowalska z Antokola i Wanda Bonisławska z podwileńskich Pryciun. Wtedy jeszcze nic o zakonnicach nie wiedział, ale matka rzekła: *Spójrz, one są święte*. Mimo że pochodził z rodziny głęboko wierzącej, w dzieciństwie bał się księży. Może dlatego w swoim życiu chętnie otacza się dziećmi i młodzieżą, a obok pouczeń kapłańskich zawsze ma w zanadrzu figlarny uśmiech, humorystyczne powiedzonko, przyjazny uścisk dłoni.

Nie po raz pierwszy jestem ze swoim dwunastoletnim synkiem Karolem u kardynała. Obserwuję obrazek jak zwykle: siedzą obok siebie, oglądają książki, rozmawiają, jakby wczoraj się rozstali. Kardynał cierpliwie tłumaczy dziecku, kim byli bracia cystersi i nie ukrywa radości, że Karolek już zdążył z mamą zwiedzić zabytkowe obiekty.

- Karol, my z tobą przyjaciele?

- Przyjaciele.

- Na zawsze?

- Na zawsze.

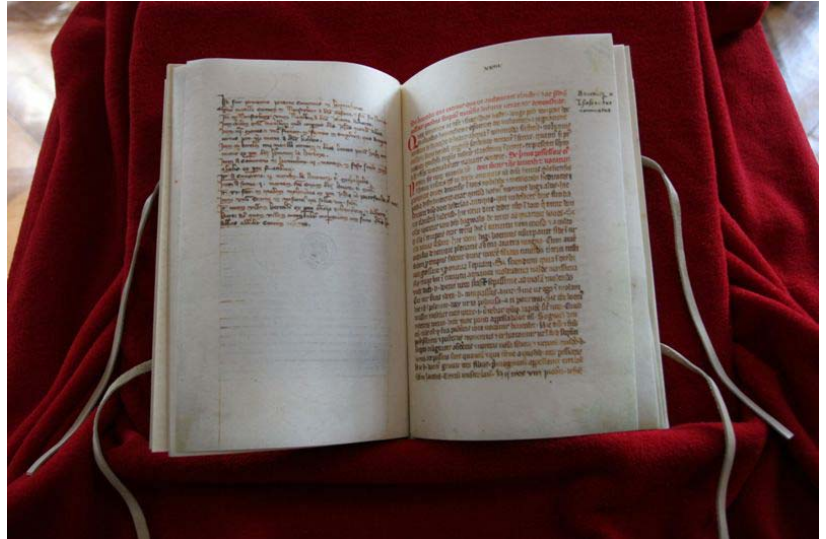
- To daj swoją dłoń i, jak wrócisz do Wilna, pisz do mnie.

W tym miejscu nasuwają się słowa śp. ks. prof. Jana Pryszmonta (1919-2007), kolegi seminaryjnego kardynała, z którym również znaliśmy się: *Taka serdeczność bywa tylko między nami, wileńskimi*.

Jeżeli kard. Gulbinowicz jest w Henrykowie, to każdego dnia bywa w kościele wzniesionym w XIII w. w stylu gotyckim, a na przełomie XVII/XVIII w. przebudowanym na wzór barokowy, w którym gospodarzami byli i są bracia cystersi. W kaplicy Marii Magdaleny możemy obejrzeć mauzoleum książąt Piastów ziębiczkich. W ołtarzu głównym – obrazy Michała Willmanna: „Zbawca świata” i „Boże narodzenie w wizji św. Bernarda”. Górną część nawy centralnej zdobi zespół obrazów barokowych. Zachwycają rzeźby naturalnej wielkości człowieka, w tym Henryka I Brodatego, św. Jadwigi Śląskiej i św. Jana Chrzyciela. Dębowe barokowe stalle z początku XVIII w., najpiękniejsze w całej Polsce, są wzorem sztuki pracy snycerskiej nie do prześcignięcia. W tych zabytkowych ławach mnisi cystersi śpiewali oficjum. Po 582 latach owocnej i pozytywnej działalności cystersów nastąpiła

kasata zakonu. Werdykt wydał król pruski Fryderyk Wilhelm II, a jego siostra Fryderyka Luiza Wilhelmina przejęła dobra, w tym klasztor, który został przerobiony na pałac. Po powstaniu listopadowym stał się siedzibą książąt sasko-weimarskich. Sala Purpurowa, letnia jadalnia z oranżerią, rokokowy piec oraz szumiący wokół dziewiętnastowieczny park angielski są pozostałościami z tamtych lat. Do budynku, liczącego prawie 300 pomieszczeń, wiodą trzy zabytkowe barokowe portale. Zachwycają świetnie prezentujące się sale: Dębowa, Książęca, Papieska. Cudem ocalałe dzieła sztuki pokazują nam tylko namiastkę tego, co w swoim czasie cystersi zgromadzili. Szczęśliwie przetrwał wszelkie zawieruchy pomnik Trójcy Świętej, stojący na podwórzu przed zabytkowym zespołem architektonicznym. Klasztor i kościół łączy wewnętrzny dziedziniec z barokowym ogrodem.

W tych zabytkowych murach opat Piotr stworzył słynną „Księgę Henrykowską”, w której zostało zapisane pierwsze w historii zdanie po polsku, wypowiedziane przez mężczyznę do kobiety: *Day ut ia pobrusa a ti poziwai* (pozwól, że ja będę meł, a ty odpocznij). Dobry przykład do naśladowania i dzisiaj, bo przecież kobieta na Litwie często pracuje na dwa etaty (w pracy/w polu i w domu). W Henrykowie możemy obejrzeć wierną replikę księgi, oryginał – we Wrocławiu. Drugą bezcenną lokalną cennieścią jest srebrna monstrancja z 1671 r., przedstawiająca Drzewo Jessego (drzewo genealogiczne Chrystusa).



**Księga Henrykowska. Fot. [www.henrykow.eu](http://www.henrykow.eu)**

*Á propos*, dlaczego Henryków i dlaczego cystersi? Otóż w 1222 r. książę Henryk I Brodaty wyraził zgodę na swoich ziemiach założyć filię cysterską (z ośrodkiem w Lubiążu), powierzając opiekę nad nią swemu synowi Henrykowi II Pobożnemu. Stąd nazwa Henryków. A pierwszy opat tego opactwa cysterskiego również miał na imię Henryk.

Piersi cystersi przyjechali w te strony w 1227 r. Osuszyli bagna (zwykle osiadali na pustkowiu w dolinie rzeki), zagospodarowali pola, wykopali stawy rybne, wzniesli drewniany kościół pw. Najświętszej Panny Marii i św. Jana Chrzciciela, który po spaleniu przez Mongołów został zastąpiony wczesnogotyckim, murowanym. Mnisi wszystko robili sami, a więc również wznosili. Obowiązywała surowa reguła: módl się i pracuj (*ora et labora*). Reguła wymagała, aby sami nie tylko administrowali opactwem, ale i uprawiali ziemię, zajmowali się sadownictwem i ogrodnictwem, rzemiosłem i tkactwem, hodowlą ryb, owiec i bydła, budowali kościoły oraz klasztory. Dlatego na przełomie XII/XIII w. ukształtowała się gotycka cysterska szkoła architektoniczna, według której na planie czworoboku wznoszono klasztory z wirydarzem (wewnętrznym dziedzińcem). Kościoły przyklasztorne umieszczano zwykle od północy, pracownie i pomieszczenia mieszkalne, aby zapewnić jak najdłuższy dostęp do naturalnego światła i słońca, od południa. Między innymi kościół cysterski w Henrykowie posłużył jako wzór wznoszonych katedr gotyckich we Wrocławiu i Krakowie. Cystersi zajmowali się nie tylko uprawą winorośli i sporządzaniem leków, ale i zakładaniem kopalń oraz hut. Podstawę gospodarczą majątków cystersów stanowiły nadania książąt, króla i rycerstwa. Darowizna, zamiana, wymiana, kupno oraz sprzedaż doprowadziły do tego, że z czasem niektóre opactwa liczyły tysiące hektarów i trzeba było zatrudnić ludzi z zewnątrz.

Ta jedenastowieczna wspólnota zakonna wywodzi się z zakonu bernardyńskiego. Założycielem linii męskiej był św. Robert, linii żeńskiej – św. Ludgarda. Tradycyjnym strojem zakonnym jest biały habit z dużym czarnym szkaplerzem. Konwersi (świeccy zakonni) noszą natomiast habit szary. Na Śląsku znaleźli się w 1163 r. za sprawą księcia Bolesława I Wysokiego, najstarszego syna Władysława II Wygnąńca. Od księcia i okolicznego rycerstwa otrzymali liczne nadania i przywileje. Dla kraju przysłużyli się tym, że wielce przyczynili się do rozwoju jego gospodarki, w tym rolnictwa i rzemiosła. Prowadzili również ożywiającą działalność kolonizacyjną: zakładali miasteczka, osady targowe,



**Henryków. Fot. [www.henrykow.eu](http://www.henrykow.eu)**

wsie i folwarki. Dziś cystersi są zakonem kontemplacyjnym. Oprócz Europy mają swoje ośrodki w Brazylii, Etiopii, USA i Wietnamie.

W średniowieczu henrykowski klasztor (jak i wiele innych ośrodków cysterskich) był ośrodkiem kultury, sztuki i nauki. Działały przy nim skrytorium, szkoła i biblioteka. Już w 1321 r. powołano tu do życia szkołę rolniczą i szkołę dla dzieci szlacheckich, do której uczęszczali również książęta, w późniejszych czasach w tych murach działało gimnazjum. Na byłym terenie czternastowiecznego

księstwa ząbkowickiego (ziemia ząbkowicka, Dolny Śląsk) można dziś naliczyć ponad 30 znanych obiektów cysterskich, a Henryków jest jedną z najbardziej znanych perełek i dowodem niezwyklej pracowitości i talentu czarno-białych braci. Był okres, kiedy mieszkało i pracowało w Henrykowie aż 300 mnichów. Dziś jest tu zaledwie trzech cystersów, ale to oni prowadzą pracę duszpasterską i są kustoszami kościoła wzniesionego przez ich braci poprzedników. Natomiast o porządek w parku i ogrodzie oraz czystość pomieszczeń seminaryjnych dbają klerycy z Seminarium Duchownego we Wrocławiu, kształcący się na księży diecezjalnych w Henrykowie, który jest obecnie filią Seminarium. Tu odbywają pierwszy rok formacji. Jak przed wiekami mnisi cystersi, dziś klerycy modlą się psalmami w barokowych stallach kościelnych. Jest ich 12, a Zbyszek i Krzysiek pełnią rolę naszych *cycerone*. Bóg zapłać! Pięknie odnowione przez Archidiecezję Wrocławską cysterskie opactwo w Henrykowie (do naszych czasów przetrwały oficyny i pomieszczenia gospodarcze) w niedzielę i święta gromadzi okolicznych mieszkańców na nabożeństwa. Przyjmuje też wycieczkowiczów. Zabytkowy park jest dostępny dla lokalnych mieszkańców. Dzieci nie tylko grają w nim w piłkę czy chowanego, ale i mają małe zoo. Z przyjemnością obejrzelismy z synkiem dziki, sarenki i strusie. Nic dziwnego, że klerycy mają tylko godzinę czasu dla siebie. Muszą nie tylko zdobywać wiedzę, modlić się i przyzwyczajać do innego niż dotychczas życia, ale i pracować, by otoczenie przyklasztorne nie było niechlujne.

Chciałabym zaznaczyć, że to właśnie staraniem kardynała Henryka Gulbinowicza zaniedbany przez lata klasztor nabrał i życia, i bliszczy. Tablica pamiątkowa w hallu Seminarium, którego gościem był papież Benedykt XVI, głosi: *Henryk Kardynał Gulbinowicz Metropolita Wrocławski po przekazaniu przez Władze Województwa Wałbrzyskiego Archidiecezji Wrocławskiej dokonał odbudowy Opactwa O.O. Cystersów w Henrykowie*. Staraniem naszego ziomka w byłych murach poklasztornych w 1990 r. powołano do życia filię Seminarium Duchownego, w 1997 r. otwarto Dom Opieki „Caritas” im. św. Jadwigi Śląskiej, a w 2002 r. zorganizowano Katolickie Liceum im. bł. Edmunda Bojanowskiego. Henryk Roman Gulbinowicz, jako mądry i doświadczony człowiek, do tego duchowny znaczącej rangi, doskonale zdaje sprawę, że młodzież jest nasza przyszłością. Ile włożymy, tyle weźmiemy. W dawnym majątku cysterskim mieszkańcy wsi i okolic znaleźli pracę. Trzeba kształcić młodzież, sprzętać, pracować, gotować, opiekować się starcami. Co tu dużo mówić, ludzie bardzo kochają swego dobroczyńcę Gulbinowicza i są mu wdzięczni za włożony trud, mądrość życiową, dobroć, a przede wszystkim humor.

...Sędziwy mieszkaniec Henrykowa grzejący kości w wiosennym słońcu na ławeczce zachęca mnie do zrobienia zdjęcia przed pustelnią kardynalską. Ale któraż to, wszak z daleka widzę na obrzeżach byłych włości kilka murowanek? *To tutaj, proszę pani. Tylko tam dawno nikt nie chodzi.* – wskazują właściwą beztrąsko biegające po parku dzieciaki. *Ot, małe to i niemądre.* – odpowiada starszy pan. *Gulbinowicz w zimie jest we Wrocławiu. Choć i kardynał, ale jak i ja też ma prawo do odpoczynku. W końcu podążamy w stronę dziewięćdziesiątego krzyżyka.*

# KOŚCIOŁY OBRONNE OKOLIC WROCŁAWIA (5)

## 8. ŚW. KATARZYNA – gm. Św. Katarzyna

Kościół parafialny p. w. Św. Katarzyny wzmiankowany już w 1257 r. późnoromański, orientowany, murowany z cegły. Jednonawowy z nieco niższym, dłuższym od nawy, prosto zakończonym prezbiterium, przy którym od północy zakrystia. Powiększony o wieżę i zakrystię w XV w., przebudowany po zniszczeniach w 1720 r. Restaurowany w 1912 r., częściowo został zniszczony w 1945 r. i odbudowany w latach 1948-1951. W 1 poł. XVI w. został przejęty przez ewangelików i był w ich posiadaniu do 1654 r. Najstarszą częścią jest nawa i część prezbiterium, które być może pochodzą z lat 40. XIII w. Natomiast wieża i zakrystia z końca XV w. Obecny wygląd uzyskał kościół podczas znacznej przebudowy w poł. XVIII w. W elewacji południowej przy wieży znajduje się kruchta. Dach nad nawą dwuspadowy, nad prezbiterium i zakrystią trójspadowy, nad kruchtą pulpitowy – kryte dachówką. Na osi oraz w narożnikach nawy przy prezbiterium – przypory. Okna zamknięte półkoliście, od wewnątrz rozglifione. Gzyms wieńczący – ceglany fryz wczesnogotycki o odmiennym rysunku na nawie i części prezbiterium, w jego granicach sprzed 1257 r. W południowej ścianie nawy zachował się fragment tarczy słonecznego zegara. Od zachodu prostokątna czterokondygnacyjna wieża, nakryta niskim dachem namiotowym, w zwieńczeniu żelazny krzyż. Wejście przez wieżę, zamknięte łukiem odcinkowym. We wnętrzu nad zakrystią mieści się łoża kolatorska. Sklepienie nawy i prezbiterium jest kolebkowe z lunetami. W prezbiterium zachowały się ślady poprzedniego sklepienia. Barokowy ołtarz główny pochodzi z ok. poł. XVIII w. z obrazami „Zwiastowanie” i „Nawiedzenie NMP” oraz rzeźbami: św. Jadwigi, Elżbiety, Jana Chrzyciela, Jana Ewangelisty. Wolnostojące barokowe rzeźby pochodzą z kościoła w Lubiążu i przedstawiają: Zachariasza (ok. 1680-90) i św. Ignacego (pocz. XVIII w.). Obraz MB Częstochowskiej (olejny na desce) został przywieziony przez repatriantów z Doliny na Kresach Wschodnich. Obrazy Drogi Krzyżowej pochodzą z pocz. XX w. Chrzcielnica klasycystyczna z przełomu XVIII/XIX w. Po zewnętrznej, południowej stronie nawy dwie duże późnogotyckie, piaskowcowe płyty nagrobne: leżąca na ziemi Błażeja Schari (zm. 1502) i wmurowana w ścianę członka rodu von Reisewitz (zm. ok. 1500). Przy południowej elewacji prezbiterium wmurowane cztery jednakowe płyty nagrobne zmarłych w latach 1844-1914. Kościół, pozbawiony cech obronnych, okala mur obronny z 1 poł. XVII w., wyposażony w strzelnice. Mur ma około 9 m wysokości, na jego załamaniach występują skarpy. Z dawnego wielobocznego obwarowania po przebudowie w końcu XIX w. zachował się niewielki fragment od strony zachodniej. Grubość muru w dolnej części zbudowanej z cegły oraz kamieni polnych wynosi ok. 70 cm. Od strony zewnętrznej jest oskarpowany, od wewnętrznej urządzono szereg stosunkowo płytkich wnek zamkniętych łukami odcinkowymi. Otwory strzelnicze zostały umieszczone na wysokości 160 cm, mierząc od strony wewnętrznej. Mur został nakryty płasko ułożonymi cegłami, od strony wewnętrznej ze spadkiem. Brama barokowa, 2 poł. XVII w., umieszczona pomiędzy przyporami, z trzema przejściami. Przejście środkowe jest wyższe i szersze od bocznych, przejścia ujęte są w pilastry i zamknięte półkoliście. Jedno z przejść z bocznych jest obecnie zamurowane. W zwieńczeniu bramy barokowa rzeźba św. Katarzyny, prawdopodobnie z poł. XVII w. Druga brama wjazdowa przy południowo-wschodnim narożniku muru z XIX w., umieszczona jest pomiędzy przyporami. Na koronie muru od strony północnej od strony ul. Sienkiewicza ustawiono kapliczkę z piaskowca, według cech stylowych – późnogotycka (ok. 1500 r.), natomiast inskrypcja umieszczona na jej południowej ścianie mówi, że została ufundowana ona przez kanonika wrocławskiego Macieja Jana Stephetiusa w 1651 (1661?) r., co może sugerować, że została ustawiona tu wtórnie. W zwieńczeniu kula, na której krzyż kardynalski z kutego żelaza. Na ścianach płaskorzeźby: scena Ukrzyżowania z Marią i św. Janem Ewangelistą (frontowa – północna), św. Jadwiga (zachodnia) i św. Barbara (wschodnia).

### 9. WIERZBICE - gm. Kobierzyce

Gotycki kościół parafialny pw. Bożego Ciała. Wzmiankowany w 1353 r., wzniesiony w 2. poł. XIV lub na pocz. XV w., był restaurowany w latach 1892 i 1939, a remontowany w 1958 i 1973 r. Orientowany, murowany, jednonawowy, z kwadratowym, oskarpowanym prezbiterium, z kruchtą zwieńczoną sygnaturką od zachodu. W jego wnętrzu, na ołtarzu, znajduje się manierystyczny tryptyk z 1592 r. ze sceną Ostatniej Wieczerzy, pozostałe wyposażenie barokowe z początków XVIII w., a na ścianach epitafia z XVI i XVII w. Cmentarz kościelny otacza mur obronny ze strzelnicami klinowymi, wzniesiony w 1. poł. XVII w. w okresie wojny trzydziestoletniej.



### 10. WILCZKÓW - gm. Żórawina

Kościół filialny pw. Wniebowzięcia NMP, wzmiankowany w 1301 r., obecny gotycki wzniesiony w 1. poł. XV w., przebudowany w 2. poł. XVI w., restaurowany w XVII i XIX w. i wyremontowany w 1964 r. Gotycki, orientowany, murowany z kamienia, oskarpowany, jednonawowy, z wieżą od zachodu, z węższym, trójbocznie zakończonym prezbiterium o sklepieniu krzyżowo-żebrowym, z zakrytą od północy, wieżą i kruchtą od zachodu, nakryty dachami dwuspadowymi. Nawę przekrywa kolebka z lunetami. We wnętrzu zachował się barokowy ołtarz główny z 1672 r., gotycka szafa ołtarzowa z Madonną z Dzieciątkiem i świętymi z ok. 1470 r. (konserwowana 1976-1977), gotyckie sakramentarium pochodzące z 1. poł. XV w. oraz dębowe stalle z ok. 1500 r. Ściany prezbiterium pokrywa polichromia z 2. poł. XV w. ze scenami ze Starego i Nowego Testamentu (konserwowana 1971-1977). Dzwon zawieszony na wieży pochodzi z 1747. Część ceglano-mur, otaczającego cmentarz, wzniesione w 1. poł. XVII w., zachowała prostokątne, szelinowe strzelnice.



### 11. SŁUP - gm. Męcinka, pow. Jawor

Kościół parafialny pw. Wniebowzięcia NMP, wzmiankowany w 1217 r. Pierwotny kościół, wzniesiony w XV w., przybrał obecną formę po gruntownej przebudowie (szczególnie części wschodniej) w 1716 r. Był restaurowany w 2. poł. XIX w., remontowany w 1958 r. Barokowy, orientowany, murowany, na planie prostokąta, salowy, opięty zewnętrznymi lizenami, z kaplicą i kruchtą od północy, z zakrytą i kruchtą od południa, nakryty dachami dwuspadowymi i cebulastym hełmem z latarnią na wieży. We wnętrzu, ze sklepieniem kolebkowym z lunetami ozdobionym malowidłami ze scenami z legend z życia świętych, zachował się barokowy wystrój z XVIII w. i całopostaciowy nagrobek z 1555 r. Na cmentarzu kościelnym znajduje się późnogotycka kaplica (kostnica) z XVI w., obok niej późnobarokowa kaplica (św. Józefa) z 1742 r., kamienna kapliczka słupowa oraz trzy krzyże pokutne. Cmentarz jest otoczony kamiennym murem, w części południowej z zachowanymi strzelnicami klinowymi, pochodzącym zapewne z 1. poł. XVII w.

## 12. ULESIE - gm. Miłkowice, pow. Legnica

Kościół parafialny pw. Wniebowzięcia NMP. Wzmiankowany w 1389, był wzniesiony ok. 1500 r. i przebudowany w 1623 r., restaurowany i częściowo przebudowany ok. 1900 r., remontowany w latach 1964-1965. Jest gotycki, orientowany, murowany z cegieł, częściowo oskarpowany, z trzyprzęsłowym prostokątnym w planie prezbiterium i czteroprzęsłowym trzynawowym korpusem o układzie bazylikowym, w całości przekryty sklepieniami krzyżowo-żebrowymi. Od północy prezbiterium umieszczona jest zakrystia, przy korpusie kaplice i kruchta, a od zachodu czworoboczna wieża. Całość nakrywają dachy dwuspadowe. W ścianie wschodniej, nad oknem, znajduje się wykusz machikułowy na wspornikach, przykryty daszkiem, a w ścianie północnej barokowy portal z 1623 r. We wnętrzu zachował się renesansowy drewniany ołtarz z pocz. XVII w., późnorenesansowa ambona, kamienna chrzcielnica z pocz. XVI w. oraz szereg rzeźbionych nagrobków z 2. poł. XVI w. na ścianach. Cmentarz kościelny otacza mur kamienny ze strzelnicami klinowymi, pochodzący z 1. ćw. XVII w.

Warto też zobaczyć „Kolumnę łez” przy drodze do Lipiec. Została wzniesiona w 1664 r. przez księcia legnicko-brzeskiego Jerzego III na pamiątkę rozstania się ze swą córką Dorotą Elżbietą.

## 13. WĄDROŻE WIELKIE - gm. Wądroże Wielkie, pow. Legnica

Kościół parafialny MB, zbudowany w 2. ćw. XIII w., rozbudowany w XIX w., restaurowany w latach 1964-1965. Orientowany, murowany z kamienia, jednonawowy, z wydzielonym prezbiterium, zamkniętym półkolistą absydą i nakrytym sklepieniem krzyżowo-żebrowym, z wieżą od zachodu. We wnętrzu ołtarz główny barokowy z początków XVIII w., drewniana, renesansowa ambona, klasycystyczna chrzcielnica z 1828 r., a na wieży dzwon z 1658 r. Cmentarz kościelny otoczony jest obronnym murem z zachowanymi częściowo strzelnicami, wzniesionym w 1. poł. XVII w.

*Krzysztof Tęcza*

# Park dworski w Pisarzowicach

**W**iele już razy przejeżdżałem przez Pisarzowice koło Lubania, ale jakoś nigdy nie zjechałem w stronę wyraźnie widocznego dachu starego budynku usytuowanego wśród zieleni. Aż wreszcie uczyniłem to. I wtedy okazało się, że warto było. Mało tego, żałowałem, że nie uczyniłem tego wcześniej. Zaraz za krzyżówką stoi wielka tablica informacyjna z opisem miejscowości. Dowiedziałem się z niej, że wieś Pisarzowice podzielona początkowo na trzy części: górną, środkową i dolną, na początku XX w. była w posiadaniu dr. Backansa i jego żony (część środkowa), natomiast część dolna miała trzech właścicieli: J. Minge, B. Brendzel i E. Feler. Około 1917 r. dobra dolne i środkowe nabyła rodzina Schmidt z tym, że Pisarzowice Środkowe były aż do czasu II wojny światowej zarządzane przez Alice von Ehrenkroo (z domu Schmidt-Reitzig), a Dolne należały początkowo do Karla Schmidta i od 1930 r. do Anny Schmidt. Na podstawie zachowanych elementów architektonicznych, tj. fragmentów krzyżowych i kolebkowych sklepień w piwnicach, ustalono czas powstania pałacu na koniec XVII w. oraz początek XVIII, jeśli chodzi o wyższe kondygnacje. W latach 60. XIX w. wykonano gruntowną przebudowę obiektu.

Jeśli chodzi o park, to najstarszą częścią jest skarpa po północnej stronie budynku i nad północnym stawem. Rosną tutaj 180-200-letnie dęby. Są one pozostałością dawnego naturalnego zadrzewienia. W latach 60. XIX w. dokonano sporej modernizacji rezydencji, w wyniku czego powstał park krajo-brazowy. Wykonano niewielki staw po północnej stronie budynku, nasadzono wiele nowych drzew, w tym rząd dębów wyznaczających zachodnią granicę założenia. Prawdopodobnie w tym samym okresie naprzeciw zachodniej elewacji z ryzalitem założono ozdobny staw o regularnym kształcie. Na początku XX w. powstał ozdobny ogród, w którym nasadzono krzewy i drzewa egzotyczne. Były to m.in. cisy i żywotnik olbrzymi, a także magnolie (w późniejszym okresie). Natomiast przed fasadą budynku posadzono jodlicę Douglasa, żywotnik olbrzymi i cyprysik groszkowy. Przyjmuje się, że

starodrzew parkowy w północnej i wschodniej części założenia ma co najmniej 120 lat, a w części południowo-wschodniej i południowej - 60 lat.

To tyle, jeśli chodzi o informacje oficjalne. Teraz czeka nas to, co najciekawsze. I to, co może zarówno zadziwić, sprawić przyjemność, ale także wywołać mieszane uczucia. Od wspomnianej tablicy idziemy dalej, najpierw asfaltową szosą i oglądamy park zza płotu. Widzimy tu bardzo dużo drzew obrosniętych bluszczem. Niektóre bardzo wysoko. Tak samo cała ziemia jest jakby zasłana zielonym dywanem z bluszczu. Panuje tutaj lekki półmrok. Zieleń skutecznie tłumi światło dzienne. Jeszcze nigdy nie widziałem bluszczu owiniętego tak wysoko i tak gęsto wokół brzoź. Wygląda to niesamowicie: biała kora przystrojona zielonym bluszczem. Bo już inne drzewa, o korze ciemnej, nie wyglądają tak ciekawie. Rośnie tutaj sześć wielkich, o metrowej średnicy, dębów. Odnosi się wrażenie, jakby stały tu kolosy w pierzynach. Przy samej bramie wjazdowej, a raczej dwóch słupkach ceglanych, które się tu uchowały, rosną kolejne dwa stare drzewa, całe w bluszczu. Ale tak grubo, że dopiero, jak zadrzemy głowę do góry, to zobaczymy gdzieś na wysokości 8-9 m, że jedno to dąb, a drugie – brzoza. Niestety, park jest, delikatnie mówiąc, trochę zapuszczony. Ale jak się uważnie przyglądać, to można rozpoznać wspomniane na opisie drzewa. Są one bardzo ładne. Wystarczyłoby je tylko trochę wyeksponować.

Idąc dalej, dochodzimy do bramy na wprost budynku. Widać tu rosnące przed nim choinę kanadyjską (piękne drzewo na środku) i cyprysik gruszkowy pierzasty, po prawej. A po lewej – strzelistą jedlicę Douglasa, natomiast obok klon-jawor. Z wszystkich stron budynku widzimy zieleń, ale zanim zapuścimy się w tę dżunglę, obejrzymy wielokrotnie wspomnianą budowlę. Po wojnie przez długi czas była tutaj szkoła. Obecnie wybudowano nieopodal nowe budynki szkolne i dzieci uczą się teraz tam. Budynek postawiono na planie prostokąta. Jest on obiektem dwukondygnacyjnym z gzymsami międzykondygnacyjnymi i obramieniami okien i drzwi. Posiada ciekawe zdobienie tynkowe nad środkowym oknem I piętra oraz ładnie prezentujące się wejście główne. Drzwi są, co prawda, niezbyt ciekawe, ale mają ciekawe obramienia z cokolikami i żłobieniami, górą – motyw roślinny po obu stronach pięknie zdobionej tarczy. Niestety, nic na niej nie ma, a całość jest pomalowana w różnych kolorach. Warto to zobaczyć, zwłaszcza ten zdobny motyw roślinny. Całość przykryto czterospadowym dachem z wieżyczką pośrodku. Spod odpadającego tynku widać, że do budowy używano zarówno kamienia, jak i cegły. Zachęcam do przejścia na tył budynku, gdzie zobaczymy ciekawy ryzalit z werandą. Jest tutaj sześć pięknych kolumn z pionowymi żłobieniami mających głowice zdobne w formie podwieszonych girland skręcanych po bokach. Pełne zaskoczenie! Gdy spojrzymy do tyłu, to dopatrzymy się dawnego założenia stawowego. Wszystko jest tutaj gęsto zarośnięte na podmokłym terenie, ale dostrzec można ścieżkę obsadzoną dużymi okazami drzew, która wyznacza kształt dawnego założenia wodnego. Warto teraz zejść nieco w lewo (stojąc przodem do budynku), ścieżką w kierunku poświtującej kałuży. To jest właśnie ten najładniejszy kiedyś staw, ozdoba parku. Dzisiaj wiele mu brakuje, ale postarajmy się zobaczyć to piękno oczami wyobraźni. Zresztą widać w zaroślach jego pierwotne kształty. Tuż przed nim coś niesamowitego. Olbrzymie drzewo, którego pień rozgałęzia się na trzy potężne konary. Wygląda to tak, jakby trzy drzewa zrosły się razem. A patrząc od strony wody ma się wrażenie, jakby dwa z nich całowały się namiętnie (widać wyraźnie olbrzymie usta przyssane jedno do drugich). Tylko dla tego widoku warto się tutaj zapuścić. Według opisu to robinia akacyjna.

Wracamy teraz do placu przed budynkiem, aby wyjść z parku niewielką alejką prowadzącą do wspomnianego na początku wejścia, ujętego dwoma ceglanyimi słupami. Zaraz za zaroślami zapiera dech w piersiach. Rosną tu różaneczniki. Akurat trafiłem, gdy jeszcze kwitły. To jest przecudne miejsce. Rzadko zdarzają się tak rozłożyste okazy. Cudo. Tuż obok można zauważyć postument, na którym mała płyta z pozostałością resztek po utraconej figurze, stojącej dawniej na niej. A że to była figura, jest pewne, gdy przyjrzymy się z góry, bo środek jest pusty, natomiast pozostałe resztki to wyraźne części stóp w sandałach, z odsłoniętymi palcami. Na nich spoczywa falbanka odzieży. Idąc dalej widać pozostałość (około 1 m wysokości) kolumny na ładnym cokoliku. Niestety, wszystko zostało zniszczone. Ale już za chwilę jesteśmy ponownie przy tablicy informacyjnej i teraz proponowałbym przyjrzeć się dokładnie planowi parku, na którym mamy pozaznaczane drzewa z ich nazwami. Teraz już bez problemu będziemy wiedzieli, co przed chwilą oglądaliśmy.

## Szlak Starej Wody po Starym Zdroju w Wałbrzychu (2) – Pałac Tielscha

**O**biekt ten został wybudowany w latach 1860-1863 dla właściciela manufaktury porcelany na Starym Zdroju Carla Tielscha. Projektantem był architekt okręgowy Wüsemann. Początkowo pałacyk położony był na terenie zakładów, jednak wybudowanie w 1868 r. linii kolejowej łączącej stację Stary Zdrój ze stacją Wałbrzych Główny spowodowało odcięcie pałacyku od fabryki. Po wybudowaniu przez Tielscha nowej rezydencji w Rusinowie pałac został przeznaczony na pomieszczenia biurowe dyrekcji fabryki porcelany. Na początku XX w. obiekt został przebudowany. W 1920 r. biurowiec zakupiła firma Leopold Ernst i Synowie, która miała tam siedzibę do 1945 r. Po II wojnie światowej obiekt przeszedł we władanie Dyrekcji Rejon-



Pałac Tielscha w 1917 r. Fot. [www.wroclaw.hydral.com.pl](http://www.wroclaw.hydral.com.pl)



W 2006 r. Fot. autor

Wokół pałacyku znajdował się park, w którym znajdowała się fontanna. Budynek położony jest przy ul. Armii Krajowej 7a i został wpisany do rejestru zabytków nr rej. 685/1006/WI z dnia 1984.03.31.



Pałac Tielscha w 2009 r. Fot. [www.wroclaw.hydral.com.pl](http://www.wroclaw.hydral.com.pl)

# NIEZWYKLI, ZWYKLI MIESZCZANIE DAWNEGO OPPELN

„Fragment uczy nas zrozumienia, płynnej struktury naszego świata, przejmując nas czarem tymczasowości” [Walter Hilsberg]

**D**la części Opolan dawne Oppeln, zapewne tak jak dla mnie, to kraina nieznana. A właśnie *Oppeln* stanowi osnowę pewnej historii, która zaczęła ożywać w 2005 r. w momencie podarowania dla Muzeum Śląska Opolskiego przez prezydenta miasta zaniedbanej kamienicy przy ul. św. Wojciecha o numerze 9. Akurat Muzeum stan ubóstwa obiektu nie przeszkadzał. Dzięki temu walorowi, raczej wątpliwemu dla dzisiejszego lokatora czy kupca, można było odtworzyć, nienaruszony żadną modernizacją, cenny styl dawnej architektury.

„Odkrycia” dokonałam wiosną zeszłego roku: idąc uliczką dostrzegłam na budynku napis o treści: „Kamienica czynszowa”. Chciałam do niej wejść, jednak była już zamknięta. Później, z różnych przyczyn, zamiar odkładałam. Wreszcie, w styczniowy, mroźny dzień wybrałam się na jej zwiedzanie. Umówiony wcześniej przewodnik Muzeum zaczął oprowadzać mnie po domu. Czas cofnął się o sto dwadzieścia lat do 1890 r. Wtedy kamienica powstała. Projekt został wykonany na zamówienie rodziny Nowaków. Wybudowano ją w konkretnym celu: miała przynosić właścicielom dochód z czynszu za wynajem mieszkań. Pamiętając o czasie, w którym dom powstał, trudno nie docenić nowoczesnych rozwiązań, jakie w nim zastosowano: system wodociągowy – na każdym piętrze korytarza urządzono zlewy z wodą, kanalizacja – na pierwszym piętrze dwie toalety, z których mogli korzystać lokatorzy, spiżarki, także na każdym z korytarzy, przynależne każdemu z mieszkań. Może też zdziwić, szczególnie kogoś, kto się z czymś takim nie spotkał, klatka ze świetlikiem, przez który w sposób naturalny dostaje się światło, wydobywając z mroku piękne schody wykonane przez ówczesnego, rodzimego rzemieślnika. Światła jest tyle, że wnika ono jeszcze do każdej kuchni – inaczej byłyby one zupełnie ciemne. Z takim rozwiązaniem spotkałam się już w domu, w którym kiedyś mieszkałam, na ul. Koraszewskiego, dlatego dokładniej mogłam sobie uzmysłowić, jak się żyło w tak zaprojektowanym mieszkaniu. Świetlik był też kanałem przepływu zapachów i informacji – jego wyrazista akustyka tworzyła swoistą kakofonię. Jednak zastosowanie świetlika w wąskiej, ciemnej klatce, choć zapewne było zamyśłem ekonomicznym, to jednocześnie skromnym mieszkaniom podnosiło komfort.

O lokatorach kamienicy istnieją dane z różnych okresów. Wiadomo, ilu ich w niej mieszkało i kim byli. Na przykład, w 1902 r. mieszkania wynajmowali: szewc, pewna wdowa, hamulcowy, sprzedawczyni i piastunka. Kilka lat później już trzy wdowy, piekarz i piernikarz, który przy ul. św. Wojciecha 9 także prowadził cukiernię. Nieco później zawitali do niej roznosiciele gazet, robotnicy. Lokatorzy często się zmieniali. Stały był jedynie ich status: zwykli ludzie, których stać było na wynajęcie skromnego mieszkania. Na co mogli sobie w ich urządzeniu pozwolić? Czy były to darowane, przypadkowe sprzęty? A może kupowali je za odłożone z trudem pieniądze na ulicy, na której mieszkali? Ta była kie-



dyś gwarna i handlowa: dwa sklepy meblowe, różne warsztaty, piekarnia właściciela kamienicy, u którego wynajmowali mieszkania, i oczywiście gospoda. Jednak na drzwiach mieszkań nie ma wizytówek: „pokój i kuchnia niani z 1902 r.”, czy też: „mieszkanie rodziny robotniczej z 1926 r.”. Nie zostawili po sobie żadnych śladów, które świadczyłyby o ich upodobaniach czy gustach. W nicość obróciło się wszystko, co do nich należało. Jedynym śladem ich bytności w tym miejscu to ślad w księdze meldunkowej. Na tej podstawie zrodził się oryginalny zamysł, by pokazać, jak mogli żyć zwykli ludzie w dawnym *Oppeln*. Powstała piękna aranżacja wewnątrz. Siłą rzeczy umowna.

Dowiedziałam się, że w tworzenie tego dzieła włączyli się mieszkańcy Opola, przekazując muzeum swoje pamiątki rodzinne i rzeczy, które komponują się z duchem epoki. Zostali wymienieni w jednej z broszur. Ale wykaz ten, jak podkreślił pan przewodnik, nie obejmuje wszystkich, bo lista stale się powiększa, i Muzeum przybywa eksponatów. Pomostem między dawnym *Oppeln* i dzisiejszym Opolem jest mieszkanie na poddaszu, którego nie uwzględnia muzealna broszura za lata 1890-1945. Jest to mieszkanie z drugiej połowy XX w. eksponujące dla wielu jeszcze obecnych zapewne swoje klimaty: nobilitującą w tamtym czasie reprodukcję

„Słoneczników” van Gogha i politurowany tak, by wydobyte były słoje drewna, kredensik na cienkich nóżkach. Generalnie pokazano, jak na każdym piętrze, na skromnej powierzchni czynszowych mieszkań można było urządzić wielofunkcyjną kuchnię i pokój, które stanowiły przestrzeń życiową dla pojedynczych lokatorów, ale także dla licznej rodziny. Nie ma tu oddzielnych pokoi pani, pana i dzieci, bo wszyscy musieli pomieścić się w jednym.

Z jakich udogodnień technicznych korzystano – wiemy, bo te Muzeum pieczolowicie odtworzyło. Cała reszta mieści się w sferze domniemania i starannego dopasowania do obowiązujących w tamtym czasie stylów mody. W zasadzie nie ma tu kunsztownych mebli, lecz raczej ich wersje skromniejsze, które były oferowane klientom mniej zamożnym. Mimo to ich wykonanie tworzy wrażenie bogactwa. Dopasowane kolory ścian, oryginalne lampy i cała masa użytecznych i ładnych przedmiotów, które mogły ułatwić i uprzyjemnić życie: zamykana szafka na leki, w której przechowywano też cukier, by nikt z domowników go nie wyjadał, intrygujący przyrząd do obierania jabłek, cenny eksponat – butelka znanego z *Oppeln* bednarza, zdobne bibeloty, obrazy i tworzące intymny klimat fotografie, oryginalne kolorowe klocki z kamienia, patefon zamożniejszego mieszkanina, a także wartościowe pianino. Gdzieś tam rozłożone stare pisma: niemieckie i polskie. W zdumienie wprowadziła mnie szafka-lodówka (może było na nią stać piernikarza?). W mieście były składy lodu. Można go było nabyć i wsypać do specjalnego zbiornika szafki. Topniejącą wodę odprowadzał kranik – rewelacja!



Sposób aranżacji daje wrażenie toczącego się nadal życia: przygotowany do podwieczorku serwis, rozłożone bułeczki, suszące się zioła, prawdziwe przetwory w wekach na gumkę. Odnoszę wrażenie, że czas kamienicy nie minął i że codzienność toczy się nadal. Ulegając chwili patrzę na lokówkę do układania włosów, która dziś wygląda jak narzędzie tortur. Oczywiście widzę własną ciocię Lilę, która rozgrzewa podobną nad płomieniem: okręca ją skrawkami papieru i nawija na nią pasma swoich włosów. Pomimo starań często przy tej czynności czuć było spaleniżnę.



A oto klamerki do układania fal na włosach: na jej głowie prezentowały się niczym groźny hełm. Zwykle posądzano mnie, i słusznie, o podkradanie tychże klamer. Czyniłam to nie w celu trefienia włosów, lecz dlatego, że świetnie w zabawie pozorowały otwartą paszczę krokodyla. I wszystko byłoby dobrze, gdyby ciągle się gdzieś nie zapodziewały. Trzymam w dłoni muzealną klamerkę, dawną paszczę krokodyla i ogarnia mnie wzruszenie. Z nostalgii wrywa mnie pan przewodnik, który zapewnia, że kamienica tak naprawdę nie jest opustoszała. Krąży po niej duch. Jest nim komisarz Joachim Fiedlaender, który z racji tego, że ma tu swoje mieszkanie, często ją odwiedza. Postać to mroczna i do specjalnych, bo „makabrycznych zbrodni w mieście Oppeln” z okresu międzywojennego powołana. Rozwiązywanie zawodowych i paranie się życiowymi dylematami komisarza przypadło dwóm autorom książki, która o nim powstaje – Maciejowi Ćorkowskiemu, i właśnie towarzyszącego mi przewodnikowi Dobromirowi Kożuchowi. Wychodząc z kamienicy uświadomiłam sobie, że spędziłam w niej bite dwie godziny. Żałowałam, że nie mogę nadal trwać w czarownym klimacie przysiąść i odpocząć, choć na chwilę w dawnej cukierni piernikarza. Z tego powodu recepcja kamienicy wydała mi się zbyt obszerna i na jej miejscu wyobraziłam sobie małą, stylową kawiarenkę w której można byłoby zaopatrzyć się w bilet wstępu. Usiadłabym z filiżanką kawy i ciastkiem według receptury cukiernika i patrzyłabym na to, co się dzieje na Adalberstrasse, czyli ul. św. Wojciecha. To nic, że to tylko czary za pomocą DVD, które muzeum uskutecznia dla zwiedzających. Dzięki tym czarom patrzyłabym na stare pocztówki, na których widać budynki, jakie na uliczce stały, i ludzi, których ktoś uwiecznił w obiektywie, gdy nią przechodzili. A z głębi domu mogłaby dyskretnie sączyć się dawna muzyka, z patefonu.

## IMPREZY ŚWIDNICKIE

7.03.2010 (niedziela), godz. 8-14 – GIEŁDA STAROCI, NUMIZMATÓW I OSOBLIWOŚCI, Rynek w Świdnicy, wstęp wolny

7.03.2010 (niedziela), godz. 18 – KONCERT KATARZYNY GRONIEC, Sala Teatralna ŚÓK, Rynek 43, Świdnica, bilety: 30 zł

16-21.03.2010 – 81. INDYWIDUALNE MISTRZOSTWA POLSKI SENIORÓW W BOKSIE, Hala OSIR, Strzegom

*Lokalna Organizacja Turystyczna „Księstwo Świdnicko-Jaworskie”*

Wrzesław Mechło

## FITAKOWE ŹRÓDŁO

Zawoja to malownicza wieś położona w ramionach Babiogórskiego Parku Narodowego. Imponuje swoją długością wynoszącą osiemnaście kilometrów. Z wielu jej miejsc rozciąga się wspaniała panorama masywu Babiej Góry. W Zawoi stoją jeszcze tradycyjne drewniane domy i kamienne piwniczki beskidzkich górali. Jedna ze starych, góralskich zagród wtuliła się wysoko pod wierzchołek północnej ściany Fitakowego Gronia, górującego nad wyciągami narciarskimi w Zawoi – Czatoży. Ta chata pod obłokami, skryta w cieniu zalesionego szczytu, należy do rodziny Gancarczyków – od pobliskiej góry i przełęczy zwanych Fitakami. Są oni jednymi z ostatnich mieszkańców Zawoi, którzy mieli ziarno na starych, kamiennych żarnach i sami wypiekają chleb rosnący na zakwasie. Nękało mnie, dlaczego zagroda stanęła w tak chłodnym i zacienionym miejscu, gdzie słońce dociera tylko wcześniej rano w pełni lata? Wszak dawni górale stawiali domy w miejscach starannie dobranych tradycyjną chłopską logiką i wieloletnim doświadczeniem.

Poszedłem tam szerokim upłazem wiodącym od Paluchówki. Słoneczny, mroźny zimowy dzień odkrywał całą grań Babiej Góry. Skrzął się śnieg, a południowy wiatr zza babiogórskiego masywu porывał z grani chmury śnieżnego pyłu. Tam szalała zamieć, ale i tutaj docierały silne podmuchy. Wkrótce minąłem Fitakową Przełęcz i wiatr ustał. Pierwszy argument na usytuowanie zagrody już poznałem. Po prostu miejsce jest zaciszne i najczęściej wiejące południowe wiatry tutaj nie sięgają. Doszedłem do drzwi chaty. W pobliżu progu krytego gontem domu z drewnianych bali wypływała stróżka źródlanej wody: czystej, smacznej i niezamarzającej w najsrozsze zimy. Uśmiechnąłem się. To właśnie źródło było drugim, solidnym argumentem na postawienie tutaj góralskiej zagrody.

Gościnni gospodarze zaprosili mnie do środka. Gdy jadłem razowy chleb i popijałem wodę ze źródła, usłyszałem historię życia tej zawojskiej rodziny. Z góralskiej gadki wyłowilem legendę Fitakowego Źródła.

Były to dawne czasy, gdy ludność cierpiała niedostatek i austriacką niewolę. Pobory do wojska pozbawiały rodziny najsilniejszych mężczyzn, a często i jedynych żywicieli. Bezwzględnie egzekwowane podatki doprowadzały gospodarstwa do ruiny. Twardzi górale beskidzcy nie mogli ścierpieć nędzy swoich rodzin i pobratymców. Dlatego niejeden gromadził kompanów i ruszał na zbójowanie. Podobno zbójnicy najchętniej spotykali się przy wysokim na osiem metrów Zbójceckim Wodospadem. Drżeli przed nimi kupcy, których chętnie łupili twierdząc, że ich bogactwo z oszustwa i kłamstwa pochodzi. Obawiali się ich młynarze fałszujący mąkę oraz majętni karczmarze, którzy rozcieńczali wodą piwo i okowitę. Zbójnicy byli zuchwali, a pieniądze i inne dobra zrabowane bogatym w znacznej części przeznaczali dla biednych mieszkańców beskidzkich wsi. Dlatego miejscowa ludność zwała zbójników „dobrymi chłopcami” i nierzadko gościła w swoich chałupach.

Gdy napady były krwawe, za zrabowane pieniądze zbójnicy fundowali kapliczki i kościoły, tak odkupując swoje winy. Jednak część skarbów zawsze ukrywano, zakopując przy górskim źródle. Ponieważ było tam mokro i błotniście, w każdą Palmową Niedzielę zbójnicy wyjmowali wszystkie zabłocone skarby, starannie myli w źródlanej wodzie i suszyli na słońcu. Gdy zbójnicy pomarli, skarbami opiekował się babiogórski Skarbek. Postanowił przenieść je w inne miejsce. Ponieważ wśród skarbów było wiele drobnych przedmiotów, Skarbek poprosił okoliczne trznadłe – pstro ubarwione, żółtoszare ptaszki – aby pomogły mu w przeniesieniu i ukryciu skarbów. Trznadłe nadleciały stadkami i szybko uporały się z pracą.

Podobno nadal w każdą Palmową Niedzielę stadka trznadli pomagają Skarbkowi wydobyć ukryte skarby, umyć źródlaną wodą i osuszyć w wiosennym słońcu. Ale ujrzyć suszące się skarby może wyłącznie człowiek moralnie tak czysty i uczciwy jak źródłana woda. Czy musi to być woda z Fitakowego Źródła? Tego z całą pewnością nie wiadomo.

Wspomnieli gospodarze również inną legendę o zielu zwanym okrzyнем, które rośnie tylko tam, gdzie jeleń wciśnie kopytem jego nasionko w czystą, źródlaną wodę.

## Sławki – szkice z dziejów wsi do 1939 r.

**W**ieś sołecka Sławki położona jest w gm. Somonino, pow. kartuski w woj. pomorskim i oddalona o 2 km na zachód od Somonina. Od południa graniczy ona z Egiertowem, od zachodu zaś ograniczona jest drogą Kartuzy – Egiertowo. Od północy Sławki graniczą z Goręczynem, od zachodu z Rątami, Koszowatką i Ostrzycami. Jest to jedyna wieś w Polsce o tej nazwie, która prawdopodobnie wywodzi się od słowa „sława”. Jest natomiast wiele innych wsi, których nazwa pochodzi prawdopodobnie także od tego słowa, jak np. Sławica, Sławice, Sławno, Sławkowo.

Pierwsze informacje o tej wsi pochodzą z okresu panowania na Pomorzu księcia Sambora II, który w 1241 r. darował wieś Goręczyno wraz z innymi wsiami oraz łowiskami biskupowi kujawskiemu Michałowi w zamian za zaległe dziesięciny. Jak pisze Błażej Śliwiński, znane są w tej sprawie dwa dokumenty wystawione 21.02.1241 r. w Toruniu, zawierające wykaz wsi i osad, jeden o 14, a drugi o 18 miejscowościach. Ten pierwszy wymieniał wsie w następującej kolejności: *Ostriche, Goranchino, Vanckovo, Zakonici, Lessno, Vagnino, Semagnino, Kopino, Karlikouo, Rainikouo, Darganche, Raneai, Mieskouo, Slaucouo*. Natomiast wedle drugiego dokumentu: *Goruchino, Waccouo, Zaconici, Lesno, Kelpyno, Vazino, Dersino, Karlicouo, Borzce, Sadobardi, Vissecechovo, Semanino, Slavcowo, Borechouo, Ranei, Ranicovo, Darganze, Ostrice*. Niektóre z nich istnieją do dziś, jak Goręczyno, Kiełpino (Kelpyno), Dzierżążno (Dersino), Borcz (Borzce), Wyczechowo (Visseceuchowo), Somonino (Semanino) Sławki (Slavcovo), Rąty (Ranei), Ostrzyce (Ostrice) Rozszyfrowując nazwy innych Błażej Śliwiński uważa *Waccouo, Zaconici, Lesno, Sadobardi, Ranicovo* i *Darganze* za zaginione już na przełomie XIII/XIV w. *Vazino* zostało wchłonięte przez Mezowo. *Karlicouo* natomiast to wieś istniejąca jeszcze w 1558 r. w okolicy Żukowa i Sitna. *Borechouo* to późniejsze Worzechowo, dziś w obrębie wsi Sławki. Jak widać, dokument pierwszy zaczynał się od wsi Ostrzyce i wymieniał tylko 14 osad, miał natomiast tę zaletę, że opatrzony był podpisami świadków i posiadał cztery pieczęcie. Świadcami byli legat papieski Wilhelm z Modeny, krzyżacki mistrz krajowy pruski Poppon von Osterna, gwardian franciszkanów z Inowrocławia Mikołaj, scholastyk wrocławski Jan, tamtejszy kanonik Wawrzyniec, kanonik kruszewicki Rodger i archidiakon pomorski Wacław. Drugi ze wspomnianych wcześniej dokumentów wymienia 18 wsi, wśród których pierwszą było Goręczyno. Nie zawiera jednak listy świadków, a jedynie jedną taśmę pieczęci z odcisniętą pieczęcią Sambora II. Ponadto pierwszy dokument dawał mniejszy zakres władzy nad ofiarowanymi wsiami niż drugi. W drugim dokumencie, podobnie jak w pierwszym, darowany teren określa się jako kasztelanję Goręczyńską. Śliwiński uważa, że najprawdopodobniej dokument drugi stanowi falsyfikat i jako wiarygodny należy przyjąć ten wymieniający jedynie 14 wsi darowanych biskupowi, a więc bez Dzierżążna, Wyczechowa i Borcza, a z Ostrzycami jako wsią dominującą. Układ z biskupem kujawskim został anulowany w 1282 r. przez Mściwoja II, który przyrzekł spłacić długi Sambora II. Po raz drugi w XIII w. Sławki wymieniane są w 1291 r. i występują w dokumentach pod nazwą *Slafchowo*. Po opanowaniu Pomorza przez Krzyżaków Sławki zostały w 1311 r. włączone administracyjnie do wójtostwa tczewskiego. Wieś była wówczas lokowana na prawie polskim, z obowiązkiem świadczenia służby wojennej. Istniała tu już wówczas karczma, jako że Sławki leżały na szlaku wiodącym z Goręczyna do Grabowa.

Gdy 5.03.1454 r. Kazimierz Jagiellończyk wydał akt inkorporacyjny, wcielający Pomorze do Polski, Sławki przeszły pod władanie króla należąc do pow. tczewskiego, zaś pod względem przynależności kościelnej wieś znajdowała się na terenie parafii Goręczyno w dekanacie mirachowskim. Trzeba też tu dodać, że wieś nosiła wówczas nazwę Sławkowy i nazwa ta obowiązywała przez następne 300 lat. W pracy „Mapy województwa pomorskiego w drugiej połowie XVI wieku” zapisano, że właścicielami wsi Sławki, która zajmowała obszar 10 łanów (ok. 168 ha), byli dwaj Sławkowscy. Wieś uważana jest za gniazdo rodowe Sławkowskich herbu Radwan, przydomek Graba, Mach i Puc. Sądząc jednak z dalszych losów wsi, Sławki były prawdopodobnie dzierżawione przez kolejnych szlachciców lub też jedynie część wsi stanowiła własność szlachecką, reszta zaś należała do króla. W 1648 r. jako właściciele gruntów we wsi Sławkowy wymieniani byli: Tomasz Jeżewski, który płacił

podatek od 1 1/4 włóki folwarcznej 1 floren i 15 gr. oraz Sikorski płacący od 3 włók folwarcznych 3 floreny.

Wizytacja Szaniawskiego w 1710 r. informuje, że Janikowski do parafii w Goręczynie z gruntów w Sławkowach dawał mesznego 1 1/2 korca żyta i tyleż owsa, a Dabrowski 3/4 korca żyta i tyleż owsa. Dla zakonu kartuzów dawano 3/4 miary żyta i tyleż owsa. Należy jednak wyjaśnić, że wymieniany tu Janikowski to Michał Janowski, wójt klasztorny i tenutariusz somoniński, posiadający część ziemi w Sławkach, zmarły w 1724 r. Taryfy podatkowe z 1717 r. podają, że Sławkowy Małe płaciły podatek 16 gr. Dnia 30.04.1727 r. Wilhelm Loesberg, przeor klasztoru kartuskiego, sprzedał tkaczowi Pawłowi Magula karczmę we wsi Sławki.

Rok 1733 był dla Pomorza, tak jak dla całej Polski, okresem kolejnej wojny wywołanej przez Rosję i Austrię w związku z ich sprzeciwem wobec ponownego wyboru na króla Polski Stanisława Leszczyńskiego po śmierci Augusta II. Druga elekcja, dokonana przez nielicznych przeciwników Leszczyńskiego, pod ochroną wojsk carskich wybrała Augusta III Sasa. Rozpoczęło to okres tzw. wojny sukcesyjnej. Król Stanisław schronił się w popierającym go Gdańsku. W ślad za nim podążały wojska carskie. Polscy żołnierze, broniący tronu Stanisława Leszczyńskiego, a stacjonujący w Kartuzach, na wieść o zbliżających się w lutym 1734 r. wojskach carskich pod dowództwem Irlandczyka w służbie rosyjskiej, marszałka Piotra Lascy (Lascy'ego), opuścili klasztor, wycofując się na południe przez Goręczyno i Ostrzyce. W marcu, gdy pod Gdańsk ze swoją armią podszedł feldmarszałek Burkhard von Münnich, wojska marszałka Lascy, składające się z regimentów konnych i kozaków, w celu zabezpieczenia tyłów przed Polakami cofnęły się w kierunku Kiełpina, Somonina, Sławków, Rąt i Goręczyna. Jak wyglądał ich pobyt w tych wsiach, możemy jedynie sobie wyobrazić. Na pewno ucierpieli mieszkańcy i ich dobytek, brak jest jednak na ten temat szczegółowych informacji. Ponownie obce wojska pustoszyły Pomorze podczas wojny siedmioletniej, która wybuchła w 1756 r. pomiędzy Prusami a Austrią, Francją, Saksonią i Rosją. Choć Polska była w niej neutralna, to przemarsze kozaków i kałmuków, rosyjskiej i mołdawskiej jazdy, szerzyły strach i zniszczenie na Kaszubach. Wojska pod groźbą użycia broni skupowały, a czasem wprost rekwirowały wszystką żywność i paszę, powodując głód i padanie ocalałych z wykupu zwierząt.

W 1772 r. I rozbiór Polski na prawie 150 lat oddał Pomorze pod panowanie Prus. Komisje wyznaczone do przejęcia Prus Królewskich rozpoczęły pracę 13.09.1772 r. Zagarniając województwa: pomorskie (z wyjątkiem Gdańska), malborskie, chełmińskie oraz Warmię i część Wielkopolski, Fryderyk II przemianował Prusy Królewskie na Zachodnie (Provinz Westpreussen). Naczelną władzą była teraz kamera *Kriegs und Domänenkammer*, podporządkowana pierwotnie królowi, a następnie Głównemu Dyrektorium w Berlinie. Cała prowincja dzieliła się na powiaty z radcami ziemskimi – Landräte (landratami), na czele. Wszystkie wsie królewskie i zakonne zostały przejęte przez rząd pruski i jako domeny stały się jego własnością. Już 18.09.1772 r. urzędnicy pruscy przejęli w swoje ręce dobra klasztoru kartuskiego wraz ze wszystkimi ziemiami do niego należącymi. Przeszły one we władanie króla pruskiego, który przejął m.in. Goręczyno, Ostrzyce, część Borcza, Połączyno, Sławki i część Wyczechowa. Sam klasztor pozostał jeszcze we władaniu zakonu. Kataster fryderycjański z 1772 r. podaje, że koło wsi Sławkowy była owczarnia, w której mieszkał m.in. ewangelik Palberg. Wizytacja Rybińskiego z 1780 r. zapisała, że w Sławkowach i Kozarni (Koszarni) mieszkało razem 79 mieszkańców i wszyscy byli katolikami. Pośród nich 59 było komunikowanych. We wsi nie było mieszkańców innej wiary. Proboszcz goręczyński pobierał meszne wielkości 3 korce żyta i tyleż owsa. Jak zapisano w księdze wizytacji, Sławki były własnością króla pruskiego i administracyjnie należały do dystryktu gdańskiego. Ilość mieszkańców zmieniała się stale, czasem z nieznanых powodów malejąc. Jak czytamy w schematyzmie diecezji chełmińskiej, w 1848 r. w Sławkach mieszkało 70 katolików, a więc o 9 mniej niż w 1780 r. Natomiast w 1867 r. w Sławkach mieszkało już 175 katolików. Nie wiadomo jednak, czy we wsi byli w tym czasie mieszkańcy innego wyznania, sądząc jednak z informacji pochodzących z następnych lat, prawdopodobnie we wsi zaczęli osiedlać się Niemcy, którzy byli głównie wyznania ewangelickiego.

W 1885 r. do dóbr rycerskich Sławkau (jak brzmiała niemiecka nazwa) należało 5 osad, 34 gospodarstwa chłopskie i 46 domostw. Mieszkało w nich 253 osób, z czego 142 katolików i 111 ewangelików. Jak czytamy w „Słowniku Geograficznym Królestwa Polskiego ...” z 1902 r., poczta obsługująca

mieszkańców wsi znajdowała się w Hopowie, zaś najbliższa stacja kolejowa w Szymbarku odległym o 7 km. Godzi się tu przypomnieć, że linia kolejowa z Kartuz do Kościerzyny powstała w 1901 r. Do dóbr Sławkowy w 1900 r. należały: zabudowania Grenzhof - 11 domów i 70 mieszkańców, Kalbszangel - 4 domy i 23 mieszkańców, Owczarnia (Schaefererei) 10 domów i 52 mieszkańców oraz Seehof 2 domu i 15 mieszkańców. Oprócz majątku w Sławkowie było 6 gburstw i 18 zagród, mających razem 436 ha (288 roli i 50 łąk). Znajdowała się tam cegielnia, hodowla bydła rasy holenderskiej, mleczarnia.

Okres intensywnej germanizacji Pomorza niósł za sobą powstawanie coraz większej ilości parafii ewangelickich, jako że napływający Niemcy byli w większości ewangelikami, a i małżeństwa polsko-niemieckie w wielu przypadkach przechodziły na wyznanie ewangelickie. Powstawały więc i parafie ewangelickie, m.in. w Hopowie w 1895 r. Należeli do niej ewangelicy m.in. ze wsi Sławki. W 1904 r. we wsi mieszkało 160 katolików. Na terenie goręczyńskiej parafii w 1904 r. było już kilkanaście szkół o różnym poziomie nauczania. W zależności od ilości dzieci katolickich bądź ewangelickich były to szkoły z nauczycielami tylko katolickimi, katolickimi i ewangelickimi lub tylko ewangelickimi. Szkoły z nauczycielami katolickimi były we wsiach Goręczyno, Kiełpin, Ramleje i Ostrzyce. Szkoły z nauczycielami ewangelickimi i katolickimi znajdowały się we wsiach Nowy Dwór i Połączyno. Szkoły tylko z nauczycielami ewangelickimi były we wsiach Rąty, do której uczęszczały również dzieci z Sławkowa, łącznie 36 dzieci katolickich, oraz z Semlina. Dzieci katolickie w tych szkołach nauczała religii dochodzący nauczyciel z Goręczyna. Ponadto szkoły ewangelickie były w Nowej Wsi, Hopowie (katolicki nauczyciel religii do tych szkół przychodził z Kiełpina), Borezu (nauczyciel katolicki przychodził ze Skrzyszewa Żukowskiego), Kameli, Egiertowie, Starkowej Hucie, Nowych Czaplach i Legardzie. W późniejszych latach dzieci ze szkół ewangelickich położonych najbliżej Goręczyna na lekcje religii chodziły do kościoła w Goręczynie. W 1906/07 r. miały miejsce na Pomorzu strajki szkolne. Jak pisze w swojej książce Leopold Schenzel, wzięły one początek w Rątach i rozprzestrzeniły się na całe Pomorze. Tak więc dzieci ze Sławek były wśród tych, które zapoczątkowały strajk.

Na podstawie traktatu wersalskiego 28.06.1919 r. część pow. kartuskiego znalazła się w granicach państwa polskiego. Przedłużające się przyłączenie Pomorza do Polski spowodowało tajne przygotowania Polaków do ewentualnej walki o te ziemie. Powstała m.in. Organizacja Wojskowa Pomorza. Jej komendantem na pow. kartuski był Franciszek Gliński. Jednak na szczęście nie doszło do przelewu krwi i przejęcie władzy przez Polaków nastąpiło 8.02.1920 r., kiedy wojsko polskie wkroczyło w granice powiatu. Sławki znalazły się na terenie ziem włączonych do Polski. „Zarys historyczno-statystyczny diecezji chełmińskiej” z 1928 r. podaje, że w obrębie parafii goręczyńskiej mieszkało wtedy 5051 osób, z czego Polaków-katolików 3383, Niemców-katolików 45, Niemców-ewangelików 1623. W skład parafii wchodziły wsie: Chyłowa Huta - 76 katolików, Egiertowo - 53, Hopowo - 231, Kamela - 120, Kaplica - 91, Legard - 20, Ostrzyce, Kolano i Węgłoszyno - 385, Połączyno - 98, Ramleje - 300, Rąty - 131, Sławki - 258, Somonino - 337, Starkowa Huta - 78 i Wyczechowo - 206.

W 1928 r. Sławki były wsią gminną (gromadzką) w pow. kartuskim, liczącą 322 mieszkańców. Poprowadzona linia kolejowa i wybudowana na niej stacja kolejowa przyczyniły się znacznie do jej rozwoju. We wsi stały młyn i tartak parowy należące do Maksymiliana Litewskiego i sklep kolonialny Cyrzana. Gospodarstwo rolne o pow. 92 ha należało do Rudolfa Schaldacha. Mieszkańcy wsi, aby skorzystać z usług poczty i telefonu, musieli udać się do Goręczyna. W 1935 r. na podstawie ustawy z 1933 r. o zmianie samorządu terytorialnego nastąpiła reorganizacja samorządu terenowego w Polsce i powołanie w powiatach gmin wiejskich. Goręczyno, dotychczasowa samodzielna gmina (gromada), stało się siedzibą gminy wiejskiej w pow. kartuskim. Do nowej gminy Goręczyno przyłączono 15 dotychczasowych gromad wiejskich. Były to Borecz, Egiertowo, Goręczyno, Hopowo, Kamela, Kaplica, Ostrzyce, Piotrowo, Połączyno, Ramleje, Rybaki, Sławki, Somonino, Starkowa Huta i Wyczechowo. Gmina liczyła 5104 mieszkańców i zajmowała obszar 10.694 ha. Na jej terenie znajdowało się 2104 budynków, w tym 732 mieszkalne i 89 przemysłowych, w tym oczywiście budynek Urzędu Gminy i poczty. Urzędnikiem Urzędu Stanu Cywilnego był m.in. kierownik szkoły w Goręczynie Władysław Dąbrowski.

*Janusz Fuksa*

## SWANECJA

**D**o osiedla Terskoł, które stanowi miejsce startu alpinistów na Elbrus, dojechaliśmy autobusem. Stąd nasza trójka wjechała wyciągiem krzeselkowym na Czegiet (2750 m). Na krótko weszliśmy, by zagrzać się, do baru przy schr. Aj (po bałkarsku: księżyc). Zachmurzyło się, zaczął siąpić drobny deszczyk. Po błocie, po śniegu dotarliśmy do schr. Siewiernyj Prijut. Okazały się nim dwa budynki: stary drewniany i nowszy z blachy z cylindrycznym dachem. Weszliśmy do tego starszego, wyłączanego już właściwie z użytku, chroniąc się przed deszczem, który pod wieczór był już zmieszany ze śniegiem. Wybraliśmy sobie miejsce na podłodze, bo innych nie było, rozłożyliśmy plecaki i śpiwory, przekąsiliśmy coś z przyniesionych produktów i spróbowaliśmy zasnąć. W nocy z dziur w suficie zaczęło kapać. Trzeba było zmieniać położenie, przesuwając się w miarę upływu czasu. Rano, po uprzątnięciu kałuż wody i po śniadaniu, zebraliśmy się, by iść dalej. Deszcz ze śniegiem wciąż padał. Kierownik grupy rosyjskich turystów, z którym zapoznaliśmy się, odradził tego kroku. Iść na przełęcz przy takiej pogodzie jest niebezpiecznie. I to nie dlatego, że deszcz poradzi sobie z najlepszą kurtką, ale głównie z powodu kamiennych lawin, jakie taki deszcz może wywołać na trasie. Trzeba poczekać na lepszą pogodę. Dzień upłynął na rozmowach z innymi turystami. Kolejny dzień przyniósł mróz i śnieg. Kwaterująca z nami grupa turystów postanowiła ruszyć w drogę. Dołączyliśmy. Droga wiodła polami śnieżnymi, wśród skał. Przechodziliśmy pod zboczem, z którego rzeczywiście mogły posypać się kamienie, ale mróz zatrzymał je przy podłożu.

Oto przeł. Donguz-Orun (3203 m). Jesteśmy na granicy rosyjskiej Kabardyno-Bałkarii z Gruzją. Wokół śnieg i mgła. Szkoda, że nie możemy oglądać rozległych widoków. Schodzimy po kamieniach pokrytych lodem. Trzeba uważać. Spodziewamy się dojść do potoku, jaki wypływa spod przełęczy. Jest! Oto początek Nakry, dopływu Inguri. Jesteśmy w Swanecji. Żegnamy się z rosyjską grupą, która idzie w lewo do Miestii – głównego miasta tej górskiej krainy. My zaś idziemy wzdłuż Nakry. Schodząc stromo z głównego grzbietu Kaukazu w przyspieszonym tempie mijamy strefy klimatyczne. Poniżej pól śnieżnych jest gąszcz rododendronów, dalej subalpejska łąka z kobiercem czerwonej szaławii, różowych astrów, żółtych prymul, niebieskich gencjan i liliowych drakwi. Tylko tu występuje pokręcona płożąca się brzoza. Niżej rosną lasy świerkowo-jodłowe, przy tym zarówno wschodni świerk, jak i kaukaska jodła występują tylko tutaj, dochodząc do 60 m wysokości i metrowej średnicy. Są długowieczne, bo żyją do 500 lat. Poniżej wysokości 2000 m drzewa iglaste ustępują miejsca bukom o wysokości do 40 m i średnicy jednego metra. Mają już żółte i brązowe liście, bo jest sierpień. A niżej 1000 m – to już strefa dębów, grabów, klonów, kasztanowców i licznych krzewów. Jakże różni się tutejsza flora od tej z północnych stoków kaukaskiego grzbieta! W Bałkarii zapamiętaliśmy właściwie tylko sosnowe bory z kolącymi krzewami rokitnika wzdłuż strumieni, a wyżej – jedynie ospiska skalne z polami śnieżnymi. Gdy jesteśmy już w lesie, znajdujemy nad rzeką niezamieszkały schron. Słońce, które pojawiło się na niebie po zejściu przez nas z głównego pasma Kaukazu, jest już nisko. Pozostajemy tu na noc. Nikt nas nie niepokoi, ani ludzie, ani zwierzęta.

Następnego dnia, przy słonecznej pogodzie, ruszamy leśną drogą w dół rzeki. Po kilku godzinach wychodzimy z lasu. Tu Nakra wpada do Inguri, stanowiącej centralną oś osadniczą Górnej Swanecji. Oto pierwsze osiedle Nakra zbudowane na stokach nad wąwozem Inguri. Jesteśmy w środku terytorium zamieszkałego przez tajemniczy lud Swanów.

\* \* \*

Swanecja leży w górnym biegu Inguri i Cchaniskali na południe od głównego grzbieta Wielkiego Kaukazu. Przedziela ją Grzbiet Swanecki. Górna Swanecja to małe górski kraj lodowców,



**Kutaisi – katedra św. Jerzego**

jowe, wojenne i obrzędowe. Wykształceni znają jeszcze trzeci język – rosyjski. Swanecki to trudny język, w którym jest 18 samogłosek i 30 spółgłosek. W zapisie wykorzystuje się pismo gruzińskie. Narodowość swanecką deklarowało w końcu lat 1970. 18 tys. ludzi, zaś jęz. swanecki znało dwa razy więcej. Swanowie już za czasów rzymskich byli znanym wojowniczym narodem, o wysokiej kulturze, dobrze zorganizowanym w swoim rodowym ustroju społecznym. Rzymianie znali Swanecję już od I w., dlatego później z Włoch przeniknęły tu wpływy, np. w architekturze. Blanki swaneckich wież obronnych są podobne do murów moskiewskiego Kremla, który w XV w. budowali Włosi.

Dokumenty historyczne i księgi dotyczące Swanecji sięgają X w. Legendy i pieśni pochodzą najwcześniej z XII-XIII w., z czasów gruzińskiej królowej Tamary. Izolacja kraju umacniała ustrój rodowy, aż po XX w., sprzyjała niezależności narodu, rozwijała dumę i odwagę. Chrześcijaństwo, przyjęte z Bizancjum poprzez Gruzję, rozwijało kontakty z Gruzinami, sprzyjało podnoszeniu wykształcenia górali. W takich sprzecznościach rozwijała się kultura tego niewielkiego narodu ludzi opanowanych, uprzejmym i gościnnym. W jęz. swaneckim nie było słów obraźliwych. Największym wyzwiskiem było słowo „głupiec”. Swanowie długo żyli w ustroju rodowym. Do jednego rodu należało około trzydziestu domów z gospodarstwami. Ród zwykle skupiał do trzystu członków i zajmował jedną wieś.

Górale mężnie bronili swojej wolności. Dopiero w XV w. książęta Dadeszkeliani opanowali sześć zachodnich gmin Swanecji, tworząc Książęcą Swanecję. Ale z drugiej strony Grzbietu Swaneckiego, w górnym biegu Inguri, Górna Swanecja zawsze była wolna, nigdy nie poddała się książętom-feudałom. Stolicą Wolnej Swanecji była Miestia – miasteczko pod potężną białą Uszbą (4700 m), skrzącą się lodowcami i urwiskami wśród skał z różowych granitów i gnejsów. Mały i odważny naród Górnej Swanecji całe wieki wojował z przybyszami. Nigdy cudzoziemscy wojownicy nie stąpali po ziemi Wolnej Swanecji. Można bowiem było dostać się do niej tylko przez przełęczę Kaukazu, jak myśmy przyszli, lub wąskim wąwozem Inguri. Dzięki przyrodzie wojowniczy naród uczynił te dwie drogi niemożliwymi do przebycia przez wrogów. Wzdłuż Inguri nie było drogi, lecz ścieżka, po której byki przenosiły ciężary w jukach. Szosę wzdłuż rzeki zbudowano w 1937 r.

wąskich dolin, bystrych potoków. Jest krainą oddzieloną od świata, z oddzielnymi od siebie dolinami. Osiedla ludzkie kontaktują się ze sobą przez przełęcze, niemożliwe do przebycia przez dzie więć miesięcy w roku z powodu śniegu. Swanowie z pochodzenia są Kartwelami, podobnie jak Gruzini, należąc do rodziny narodów kaukaskich, czyli jafetyckich. Jafetydzi byli dawnymi mieszkańcami Kaukazu. Współczesny jęz. gruziński powstał z języków Megrelów, Lazów, Kartów i Swanów. Tym niemniej jęz. swanecki znacznie różni się od gruzińskiego. Swanowie po gruzińsku czytają i uczą się, po swanecku rozmawiają w rodzinie i śpiewają liczne pieśni: obyczajowe, wojenne i obrzędowe.



**Uszba**

Dopiero w 1833 r. książęta Dadeszkeliani poddali się władzy cara rosyjskiego, szukając ochrony przed napaścią sąsiadów. Sam kaukaski namiestnik hr. Woroncowa przyjmował ich w Tyflisie, obdarzał stopniami oficerskimi i różnymi stanowiskami. Górna Swanecja była potrzebna caratowi ze względów strategicznych – strzegła ona dróg przez przełęcz Kaukazu. Ale już w 1849 r. carski naczelnik ks. Mikołaj musiał uciekać ze Swanecji. Swanowie ponownie stali się „nieprawomyślni”. Carowie próbowali kilkakrotnie podporządkować sobie Swanów, używając do tego celu ognia, miecza i krzyża (pod hasłem oczyszczenia chrześcijaństwa od pozostałości pogańskich). Gdy ks. Konstanty Dadeszkeliani zabił generał-gubernatora ks. Gagarina, został ujęty i stracony. Jego brat Otar, za przyjęcie islamu, został zesłany. Książęcą władzę car skasował w 1859 r., a posiadłości książęce formalnie przejął na skarb państwa. Ale później ponownie trafiły one w ręce członków tej książęcej rodziny. Swanowie przeciwstawili się władzy carskiej jeszcze raz w 1905 r. A w 1918 r. ostatecznie rozprawili się z książętami Dadeszkeliani i spalili ich zamki. Władza radziecka umocniła się tu dopiero w 1924 r. Dziś historyczne ziemie swaneckie obejmują dwa powiaty: Miestia i Letechi.

Ciągłe wojny spowodowały, że budownictwo Swanecji nabrało swoistego charakteru. Powstały tu wieże obronne, najwięcej w osiedlach przygranicznych: Uszguli na wschodzie i Łatali na zachodzie. Także w stolicy Miestii każdy dom miał swoją wieżę. Dlatego liczne swaneckie wsie wyglądają jak las wież. Budowano je w większości w XII-XIII w., w okresie „złotego wieku” Swanecji. Jako budulec służyły miejscowe kamienie, nawet duże głazy, i łupki. W ścianach umieszczano wąskie okna strzelnicze, w szczytach – wyżębione gzymsy. Na każde piętro wieży wchodziło się przez właz po belce z nacięciami, niby drabinie, wciąganej do góry w razie niebezpieczeństwa. Włazów nie umieszczano w jednym pionie, by uniemożliwić upadek z ostatniego piętra na sam dół. Jeszcze sto lat temu wieże były używane przez Swanów. To w nich ukrywali się przed krwawą zemstą. Krwawa zemsta, czyli *licwri*, była tu często stosowana. Walczyły między sobą rody, walczyły rodziny. Wystarczyła obraza słowna, by zasłużyć na kulę w głowę. Wówczas cała rodzina wspinała się na wieżę, biorąc ze sobą broń, wędzone mięso i nalewając wodę w drewniane kadzie. Wieże połączone były bezpośrednio z domem, który, mając wąskie otwory strzelnicze zamiast okien, też był twierdzą. Domu, zbudowanego z samych kamieni, nie udawało się spalić. Dopóki nie wypełniono krwawej zemsty, mężczyźni siedzieli w wieżach, ziemia leżała odłogiem, padało bydło. Między rodem Dadeszkelianich i rodem Swana Bimurzy krwawa zemsta trwała ponad sto lat: od 1813 r. do zabicia Tengiza Dadeszkelianiego, co wyrównało rachunek 14:14. Jeszcze w latach 1917-1925, przed umocnieniem się tu władzy radzieckiej, krwawa zemsta zabrała 600 mężczyzn. Od krwawej zemsty można się było wykupić, opłaciwszy *cor*, na który składały się ziemia, byki lub broń. Wysokość tej opłaty ustalał specjalny sąd, złożony z członków obu zwaśnionych rodzin. Ale zdarzało się, że w czasie rozprawy padały nowe ofiary. Wojny i krwawa zemsta były niedolą tego małego i dumnego narodu. Wieże są pomnikami dawnych ponurych czasów. Czarna odzież swaneckich kobiet to obyczaj wywodzący się z długotrwałego noszenia żałoby po każdym kolejnym członku rodziny. Jeżeli w ciągu roku ginęło stu ludzi z powodu *licwri*, żałoba była nieustanna. Strojem swaneckiego górala była *czoča* – okrycie z ładownicami, do tego koszula *kapa* z wysokim kołnierzem, getry *czafłar* i buty *zatkarat*, a na głowę – okrągła wołjokowa czapka *fak*. Ale dziś takie stroje noszą już tylko członkowie zespołów artystycznych.



**Uszguli**

W rolniczych zagrodach hoduje się krowy, owce, kozy. Do transportu używa się wciąż koni i wołów. Poza zagrodami można jeszcze spotkać swaneckie świnie – dzikie, czarne lub łaciate, chude, ze stojącą na karku szczecina, na długich nogach. Często zdane są na samodzielne zdobywanie pożywienia wokół osiedli. Zresztą zawsze trudno było tu z żywnością, także dla ludzi. Bowiem co tu może wyrosnąć? Ziemiaki, jęczmień, żyto. A trawa na halach dostępna jest krótko, gdy nie ma śniegu.

Krótką rozmową przy płocie i pytanie, jak dostać się w dół, wzdłuż Inguri, bliżej morza, powoduje, że jesteśmy zaproszeni do wnętrza kamiennego domu swaneckiego. Duży pokój z żelaznym piecem i długim stołem. Na ścianie szable i kindżały. Siadamy, grzejąc się przy piecu. Starszy gospodarz pyta o daleką Polskę, my odpowiadamy. Za chwilę pojawiają się synowie. Specjalnie dla nas włożyli swe ludowe *czochoy*. Przychodzi matka, prosi o oddanie kindżałów, synowie oddają. Demonstrują nam stary obyczaj; przy stole ludzie powinni być bez broni. Po chwili matka stawia na stole to, co jest w tej chwili w domu: pikantny rosół *szurpe*, solony ser *sulgin*, kwaśne mleko *maconi*, ziemniaki i warzywa. Gospodarz nalewa do szklanek napój przypominający arak. Zaczynają się toasty: za udane przejście przełęcz, za zdrowie każdego z gości, każdego z gospodarzy, za Swanecję. Wiemy, że trącąc się szklanką, trzeba ją trzymać niżej niż szklanka partnera, a to powoduje niekiedy niezręczną sytuację, bo i gospodarz swoją szklankę obniża. Po pewnym czasie pojawia się *chaczapuri* – placek zapiekany z serem.

Ale czas płynie, a my chcemy dostać się do Zugdidi, skąd zamierzamy autobusem lub koleją udać się do Batumi – stolicy Adżarii, tuż przy granicy z Turcją. Pytamy, jak przejechać te sto kilometrów. Gospodarz coś mówi swojemu synowi, ten wychodzi. Po kwadransie syn już jest. Dowiadujemy się, że właśnie z osiedla nad morze jedzie ciężarówka. Ale w kabinie zmieści się zaledwie jedna osoba. Zadowoleni żegnamy się z gościnną rodziną. Wychodzimy. Ciężarówka już czeka. Kierowca do kabiny zaprasza kobietę, my z kolegą wraz z plecakami wdrapujemy się do otwartej skrzyni samochodu. Kierowca rusza. Jedzie dość wąską, miejscami stromą drogą. Nieustannie z prawej strony nad nami góruje prawie pionowa skała, zaś z lewej opada głęboki wąwóz Inguri. Co jakiś czas widzimy w rzece rozbity samochód. Nie wyrobił zakrętu, wpadł w przepaść. Widocznie wyciąganie wraku było zbyt uciążliwe. Kierowca zakręty bierze na pełnej prędkości. Przesuwamy się w skrzyni wbrew woli, to w prawo, to w lewo, moknąc pod zimną mżawką. Czasami wydaje się nam, że za chwilę samochód stoczy się w przepaść, na dno Inguri. Ale kierowca to doświadczony fachowiec. Dowozi nas cało do miasta Zugdidi wieczorem. Nie chce zapłaty. Żegnamy się, wymieniając adresy. Jesteśmy już blisko Morza Czarnego, dzieli nas od niego tylko 30 km. Do Batumi jeszcze 180 km, ale ważne, że to już wybrzeże i klimat śródziemnomorski. Nawet ciepły deszcz już nam nie przeszkadza.

Jak każdy naród, także i Swanowie mają swoje stare legendy. Oto jedna z nich.

Myśliwy Betkil był młody, przystojny, nie bał się niczego na świecie. Na polowaniu zawsze dopisywało mu powodzenie. Wybrał się kiedyś, by zapolować, na zbocza Uszby, choć mu tego odradzano. Gdy podszedł do lodowca, zobaczył piękną dziewczynę. Była to bogini Dali. Potrafiła go oczarować; zapomniał o rodzinie i zamieszkał z nią w jej białym królestwie. Lecz pewnego razu spojrzął w dół, zobaczył wieże swego osiedla i zatęsknił za rodziną. W nocy potajemnie zszedł w dół. Tu czekała na niego najpiękniejsza dziewczyna w Swanecji. Betkil pozostał z nią, zapominając o bogini. Gdy w czasie święta wszyscy się weselili i ucztowali, na polanę wbiegł tur, wielki jak koń. U Betkila odezwało się myśliwskie serce, chwycił więc łuk i pognął za turem. Tur biegł drogą ku Uszbie, za nim podążał myśliwy. Ale za myśliwym droga zaczęła się zapadać, tworząc stromą przepaść. Na zboczu Uszby tur zniknął, a Betkil pozostał na skale, z której nie ma powrotu. Wtedy zrozumiał, że była to zemsta bogini Dali. Pod skałą zebrawi się ludźmi, krzyczeli i płakali, ale pomoc młodzieńcowi nie mogli. Wówczas Betkil zawołał: „Niech zatańczy moja narzeczona!” Dziewczyna wykonała dla niego taniec *szuszpari*. Betkil krzyknął: „Chcę widzieć, jak oplakuje mnie siostra!” Siostra wykonała taniec smutku i płaczu. „Chcę jeszcze zobaczyć taniec całego ludu!” Swanowie ruszyli w korowód. Śmiały chłopiec krzyknął: „Żegnajcie!”, i rzucił się ze skały. Echo powtórzyło to ostatnie słowo. Jego kości przydały białości śniegowi, krew zaś zabarwiła skały Uszby na czerwono. Od tego czasu bogini łowów Dali już nigdy nie ukazała się ludziom, a ludzie nadal z respektem i bojaźnią spoglądają na jej białe królestwo.

Tę piękną legendę i wiele innych wiadomości zaczerpnąłem z książki wybitnego alpinisty Aleksandra Kuzniecowa „W dole Swanecja”, wydanej po raz pierwszy w 1971 r. A moja podróż przez Swanecję miała miejsce w 1977 r.

**Od Redakcji:** Według obowiązującej terminologii nazw geograficznych prawidłowe określenie to SWANETIA ([www.gugik.gov.pl](http://www.gugik.gov.pl)).

**Fot.** [www.pomorska.pl](http://www.pomorska.pl)

# Srinagar – lądowo-wodne miasto

**W**iele regionów świata – nie tylko geograficznych, ale i historycznych czy kulturowych, zostało podzielonych granicami politycznymi. Takim jest też Kaszmir, rozdarty między Indię a Pakistanem w wyniku wojny w 1947 r. Stolicą tej pierwszej części, a zarazem prowincji *Dżammu i Kaszmir*, został Srinagar. Ta egzotyczna nazwa znaczy *miasto dostatku, miasto bogactwa*, co wywodzi się z sanskryckich *sri*:dostatek, bogactwo i *nagar*:miasto. Były ku temu powody – przede wszystkim znakomite położenie: z jednej strony u stóp gór dochodzących do 3500-4000 m, a z drugiej – po obu stronach rzeki Dźhelum (Jhelum), zwanej lokalnie Vayth, z dziewięcioma starymi mostami, i przy rozległym, acz wysychającym jeziorze Dal.

Bardzo stara, nawet jak na indyjskie warunki, tradycja mówi o założeniu w tym miejscu w III w. pne. miasta przez króla Pravaresena II. Wobec klimatu subkontynentu indyjskiego tu dawało się żyć. Maksymalne dobowe temperatury – w lipcu, wynoszą 35°, natomiast najzimniejszego stycznia osiągną -14°, zaś opady roczne – nieco ponad 660 mm, a więc około 140 mm więcej niż w Polsce. Zimą śnieg pojawia się nisko na stokach okolicznych gór, zaś nieco dalej – i w dolinach. Nic dziwnego, że szybko zaczęli do Srinagaru napływać osadnicy, ale też różni najeźdźcy. Wybitny władca indyjski Aśoka wprowadził do Kaszmiru buddyzm i miasto rychło stało się religijnym centrum rozległego regionu. Zamożność miasta ściągnęła nań jednak w VI w. Hunów, którzy po niedługim czasie zostali wyparci przez władców indyjskich. Tych z kolei zastąpili w XIV w. muzułmanie, wcale niepokojowo oczywiście, w tym wielki i długo panujący ród Mogołów. Ich kres nastąpił z chwilą śmierci Aurangzeba w 1707 r. i potężne imperium rozpadło się – jak wiele innych. Od zachodu nasiliły się więc, także w Srinagarze, migracje stepowych Pusztunów, Kaszmir stał się krainą bez większej siły militarnej, ale zachował znaczenie jako pośrednik – i to ciągle bogaty, między Indiami a ubogimi, słabo zaludnionymi krainami od zachodu. Większą jego część zagarnął w tej sytuacji w 1814 r. radża Randžit Singh, włączając ją do kręgu wpływów Sikków. Do tego trzeba dorzucić wciąż głębiej penetrujących tę część Azji Brytyjczyków. W 1846 r. doprowadzili oni do zawarcia w Lahore traktatu między indyjskimi władcami, zainteresowanymi Kaszmiem, i sobą w sprawie podziału stref wpływów. Jedną z decyzji stało się ustanowienie odrębnego królestwa Kaszmiru pod brytyjskim zwierzchnictwem, co dawało mu – mimo wszystko, dość znaczną samodzielność. Rozwiązanie to przetrwało sto lat, do powstania w 1947 r. niepodległego państwa indyjskiego.

A było to tak. Podział brytyjskiego wicekrólestwa Indii na część hinduską (Indie) i muzułmańską (Pakistan) spowodował konflikt między tymi dwoma nowymi państwami o Kaszmir: z jednej strony jego ludność stanowią (nadal) zdecydowanie muzułmanie, z drugiej strony – kilkuwiekowe, a nawet dłuższe władztwo indyjskie nad tą krainą. W 1947 r. wojska pakistańskie niemal zajęły cały Srinagar. Zagrożony włączeniem w obręb obcego religijnie tworu Hari Singh pośpiesznie zawarł z Indią pakt o integracji. Na tej podstawie szybko pojawiły się oddziały indyjskie i odbiły teren. Pertraktacje, prowadzone pod auspicjami ONZ, zakończyły się do dziś nie w pełni przyswojonymi ustaleniami, w wyniku których do Indii weszła tylko część Kaszmiru. Stanowi to zarzewie co jakiś czas wybuchających konfliktów, inicjowanych przez Pakistan, pragnący zjednoczyć zie-



**Jezioro Dal**



**Hotele na łodziach**

góry i do sąsiedniego buddyjskiego Ladakhu (Mały Tybet!), ale sam ma wiele do zaoferowania – to w końcu miasto liczące ponad 800 tys. mieszkańców. Unikatową atrakcją jest część, duża część, miasta... na wodzie, a ściślej – na jeziorze. Otóż stosunkowo łagodny (jak na Indię) klimat zaczął w dawnych czasach ściągać tu na wypoczynek Brytyjczyków i pracowników Indyjskiej Służby Cywilnej, też w dużej mierze Brytyjczyków. Maharadża obawiał się jednak stałego osiedlenia się ich w mieście, co mogłoby podważyć pozycję miejscowej ludności, i wydał zakaz wznoszenia przez przyjezdnych budowli na gruncie. Szybko temu zaradzono: zaczęto budować łodzie mieszkalne, coraz większe, aż do rozmiarów przypominających pływające domy, przycumowane wszakże do lądu. W XX w. pojawiły się liczne duże wodne hotele o kilku dużych, wygodnych pokojach z łazienkami (odprowadzenia

mie swoich muzułmańskich braci. Ostatnio zrobiło tu się spokojnie, rozwija się intensywnie turystyka, jako że Pakistan zaabsorbowany jest więcej zwalczaniem pusztuńskich rebeliantów i band Al-Kaidy. Wszelako ekstremiści muzułmańscy, zwłaszcza z organizacji Ben Ladena, starają się przenikać na teren indyjskiego Kaszmiru dla wywołania ruchawki anty-indyjskiej i siania terroru. Wojsko indyjskie, pilnie strzegące górskich przejść i dróg, bezwzględnie likwiduje złapanych prowokatorów i terrorystów. Jak by co, panuje tu więc spokój i turyści mogą czuć się bezpiecznie.

Srinagar to nie tylko punkt wypady w przepiękne okolice, wysokie



**Targowisko na jeziorze**



**Meczet Akbara**

do sieci kanalizacyjnej, podłączenia do wodociągów, elektryczności), bawialniami, jadalniami... Pełny luksus. Pierwszą, specjalnie przeznaczoną do stałego zamieszkania, wybudował M. T. Kenhard w 1888 r. Dziś jest ich ponad 500. Dostęp do nich umożliwiają jeziorne „taksówki” – szikary, szczególnie ozdobne dla cudzoziemców, z baldachimem nad miejscami do leżania. Z chwilą wypłynięcia jej z kilku przystani przy bulwarze natychmiast pojawiają się sprzedawcy owoców, pamiątek, różnych drobiazgów... Nie odstępują niemal przez cały czas i trudno im się oprzeć, jako że wschodnim obyczajem wciągają w targowanie się.

A co zwiedzać? Zabytków w rozumieniu europejskim nie ma tu zbyt wiele – najważniejszym jest okazały meczet Akbara z XIV w., z wewnętrznym dziedzińcem i jedyny udostępniony ‘niewiernym’. Wrażenie robi w nim las drewnianych słupów w każdym skrzydle. Wyróżniają się też stare domostwa nad rzeką, nieliczne już świadectwa dawnego Srinagaru. Jednakże największą atrakcją stanowią piękne ogrody, założone przez mogolskich władców. Noszą one romantyczne nazwy i romantycznie też się prezentują, jak choćby Czasma Szahi – Królewskie Fontanny, czy Pari Mahal – Pałac Wrózek. Na ich czoło wysuwa się wszakże Szalimar Bagh – największy tu ogród, zajmujący 13 ha, zbudowany przez cesarza Jahangira dla żony Nur Jahan w 1619 r. Po prawdzie początkami sięga on czasów założyciela miasta. Zaraz za nim lokuje się Niszat Bagh – Ogród •ródeł czy też Ogród Przyjemności, który powstał w 1633 r. u podnóża gór Zabarwan. Wyróżnia się on przewiewnym pałacykiem na wodzie. Woda w ogóle – w postaci sadzawek i kanalików, jest tu wszechobecna. Nic dziwnego – parując znakomicie chłodzi powietrze. A dokoła soczysta zieleń, mnóstwo kwiatów... Istny raj.



### U stóp gór – Szalimar Bagh

Władze prowincji prowadzą prace restauracyjne i pielęgnacyjne wszystkich ogrodów, udostępniając je całemu społeczeństwu – i trzeba przyznać, że korzysta ona z tego chętnie.



## JACEK KUDŁATY OPUŚCIŁ POŁUDNIOWO-ZACHODNIĄ AUSTRALIĘ

Jacek Kudłaty z Alpinus Expedition Team opuścił południowo-zachodnią Australię – jak sam podkreśla, granicząca z nią Wiktorja to zupełnie inny świat...

### Z NAJNOWSZEJ RELACJI JACKA:

„Wiktorja to zupełnie inny świat... Widać to na pierwszy rzut oka, nie wysiadając nawet z naszego campera. Przy drodze zamiast zmasakrowanych zwłok kangurów, wombatów i strusi, tabliczki: „potrafiłeś zwierzę zadzwonić, przyjedziemy z pomocą”. Wreszcie Australia, jakiej oczekiwaliśmy! Położone ok. 300 km na północ od Melbourne Góry Geriwerd – święta ziemia Aborygenów, do dziś zaborczo zwane Grampiansami, rozbudziły nasze wspinaczkowe i eksploracyjne ambicje. Pierwsze zetknięcie z kultowym Taipan Wallem to prawdziwy szok, nawet, a może zwłaszcza dla wspinaczy, którzy, jak sądzą coś tam świata i skały liznęli... Fantazyjnie kolorowe ścieki wyznaczające linie dróg i nieprawdopodobne nasycenie kolorów ściany dawało wrażenie dobrej halucynacji, a nie realnej sytuacji, w której wreszcie (po blisko miesiącu w trasie) się znaleźliśmy. Nie narzekamy, bo w końcu podróżować – jak nam w kółko przyśpiewuje Kora – jest bosko!!! Grampiansy i położony opodal Mount Arapiles to mekka niezwykle modnej w Australii wspinaczki tradycyjnej (czyt. na własnej asekuracji), a nieliczne drogi sportowe w większości wymagają żelaznej psychy, tudzież dołożenia pomiędzy spitami czegoś jeszcze. Z lenistwa i wygody zakładamy, że obdarzeni jesteśmy tym pierwszym. (...)

Naszą przygodę ze wspinaniem zaczynamy od Gallery, który ze swoimi 12-toma mocno przewieszonymi drogami jest idealny na co najmniej 2 wizyty wiosłowania po klamach. Skał nie będą nawet



### **Sławek Sławatecki i bliskie spotkanie z tygrysim okiem Eye of the Tiger 30(8a+), Muline Cave**

starał się opisać, bo zapewne słów braknie, zerknijcie proszę na zdjęcia. Wspaniałe uczucie ruchu do góry, a nie do przodu i to bryką, co miało miejsce przez ostatni miesiąc, wprawia nas w euforię. Warunki idealne, 20 stopni Celsjusza w słońcu pozwala na powolne pobudzenie do nowego, mamy nadzieję, wspinaczkowego życia. Środkiem ściany biegnie niezwykle estetyczna droga „Monkey Puzzle” 28(7c+). To wyjątkowo długa jak na Australię linia, 30 metrów wytrzymałościowego wspinu w narastającym przewieszeniu, czegoś równie wspinowego już dawno nie

widziałem. Odkładam ją na potem, czając się, aby spróbować szczęścia w dogodnym momencie. Zapewne zabawimy tu parę dni, kto wie, może i uda nam się gdzieś w pobliżu wynaleźć dziewiczy kawałek ściany na nowe drogi. Od lokalnych wspinaczy (których mimo idealnych warunków jest jak na lekarstwo) dowiadujemy się o nowo odkrytym klifie. Jak większość tutejszych ścian został namierzony przy pomocy Googla Earth – niezbędnego narzędzia dla tutejszych eksploratorów. Najpierw szalony rajd naszym campowozem przez piaskowe wydmy, na których – jeśli byśmy tylko zwolnili poniżej 80km/h – to stalibyśmy do dziś. Następnie dobre pół godziny po wymaczetowanym buszu doprowadza nas do zakątka typu: stworzenie świata. Kolorowe papugi na drzewach, sączący się spod ściany strumień i uskakujące w busz kangury, to – jak się okazuje – jedynie dodatek do wyśmienitego wspinu. W ciągu jednego dnia w 100% wyczerpujemy możliwości sektora. Ravine ze swoimi 10-cioma średnio trudnymi max 26(7b+), lecz niezwykle urody drogami, daje nam obraz, w jak bardzo wyeksplorowanym wspinaczkowo terenie się znaleźliśmy... Żal opuszczać miejscówkę (camp Bundik), gdzie co rano budzimy się w towarzystwie pasących się żółtymi kwiatkami wokół naszych namiotów kangurów. Planujemy kolejny dzień rozwspinu przed odkładaną na „po reście” wizytą na Taipan. Tam jedna z nielicznych obitych dróg to Groovy – mityczne 28(7c+), na które z racji rozłożonego na 30 metrów ciągu trudności, ostrzę sobie zęby.

Muline Creek to kolejny sekretny rejon i chyba największe nagromadzenie trudnych dróg na całym kontynencie. Blisko godzinne drapanie się w palącym słońcu pod ścianę, po niezwykle połączeniu piargów i buszu sprawia, że marzymy o wygodnej ścieżce, wyprowadzającej pod ściany niczym we francuskim Ceuse... Za to czerwone ściany w fantazyjne wzory, bardziej niż skałę przypominają dzieło niezwykle natchnionego artysty, który przy swojej kompozycji wziął oczywiście pod uwagę nas-wspinaczy. Kilka krótkich, bo zaledwie 17-20 metrowych, niezwykle bulderowych dróg o trudności 33(8C) obok siebie sprawia, że karki bołą nas od zadzierania głowy, a ręce same się pocą. Znając jednak swoje miejsce w szeregu podążamy w stronę jedynej w rejonie 24(7a+). Rozgrzeweczka na biegnącej niemal w dachu linii nieźle nas zgrzała, wymuszając nie tylko optymalną pracę ciała, ale i ducha. Lecimy ją na dogrzewkę kilkakrotnie i wcale nie robi się łatwiejsza... Następna droga z gatunku tych (jak nam się zdaje w zasięgu) to „Eye of the tiger” 30(8a+), nazwa jak najbardziej adekwatna do linii, która wiedzie w dachu idealnie po krawędzi tygryszego oka (największe tutaj arcydzieło nieznanego artysty). Niezwykle trickowe miejsce w dachu zrzuca nas po kolei.

Schodząc spod ściany snujemy ambitne plany na najbliższe dni z przystawkami typu „Monkey Puzzle” i „Grovy” w rolach głównych. Tymczasem chwila zagapienia i zjeżdżam tyłkiem po piargu, hamując nadgarstkami. Shiiiiittt!! Dłoń rozpruta do mięcha i to idealnie na wewnętrznej wspinaczkowej stronie... (...) Podejmujemy trudną, ale wierzymy, że słuszną decyzję o odwrocie. Co najmniej tydzień przerwy na zagojenie rany postanawiamy spędzić – nie marnując cennego czasu w drodze – pod kolejną miejscówkę, czyli położone 1500 km dalej Blue Mountains. Żegnaj Monkey, żegnaj Grovy, żegnajcie Grampiansy”.

Wojciech Radliński

## Turystycznie we Wrocławiu

**P**o zeszłorocznym sukcesie na początku tego roku ponownie we wrocławskiej Hali Stulecia (Ludowej) zagościły Międzynarodowe Targi Turystyczne. Spora dawka reklamy w mediach i niemalże we wszystkich zakątkach miasta przyniosła doskonałą frekwencję – 12 tys. zwiedzających. Program imprezy z szeregiem atrakcji zachęcał do odwiedzin. Konferencje i wykłady dla ludzi z branży, festiwal kulinarny – idealna propozycja nie tylko dla smakoszy, efektownie przygotowana prezentacja regionu partnerskiego targów, woj. lubuskiego, oferty biur podróży nie tylko polskich, zachęty ze strony uzdrowisk, obiektów noclegowych, występy artystyczne, promocje cenowe... i wiele, wiele konkursów z atrakcyjnymi nagrodami. Hitem targów były spotkania z podróżnikiem Wojciechem Cejrowskim i zdobywczynią Korony Ziemi Martyną Wojciechowską.



**Zespół Waliszowianie na targach**



**Stoisko O/Wrocławskiego PTTK**

Jednak, jak zawsze, najlepiej wędrowało się pośród stoisk: oglądało, dopytywało, nawiązywało kontakty i zaopatrywało w materiały. Stoiska były solidnie do targów przygotowane, a wystawiało się 324 wystawców. Wśród zwiedzających było wielu ludzi kojarzonych z PTTK. Zapewne przyniesie to spore korzyści w ich działalności. No, a takich okazji do wzbogacenia się w materiały turystyczno-krajoznawcze, a w szczególności mapy, nie ma za wiele. Ze smutkiem należy stwierdzić, że PTTK na imprezie praktycznie nie istniało. Aż prosi-



**Honorowy Członek PTTK Bronisław Zathey (z prawej) degustuje słowackie przysmaki. Z lewej Dyrektor Jan Bośnović**

ło się jednak, by dolnośląskie jednostki Towarzystwa, w tym i schroniska zdobyły się na wspólny wysiłek i zaprezentowały się. Bez reklamy, szczególnie tej bezpośredniej, praktycznie się nie istnieje. Wyjątkiem było, ratujące honor, stoisko Oddziału Wrocławskiego PTTK. Trudno jest wymienić wszystkich wystawców. Jednak np. Urząd Miasta Głuchołazy, Gmina Bystrzyca Kłodzka zespolona z czeskim Usti n. Orlicą, Wielkopolska Gościnnia czy też Starostwo Powiatowe w Żywcu (ze starostą Andrzejem Zielińskim na czele) zaoferowały to, co interesuje turystów aktywnych. Jak zwykle, dobrze pokazali się Czesi, którzy reprezentowali tereny przygraniczne. Krajem partnerskim targów była Słowacja. Profesjonalnie przygotowane stoisko w centrum Hali i program *non stop* przyciągały ludzi. Degustacje specjałów słowackich – pierożki z bryndzą, sery, występy artystyczne i doskonałe materiały były bardzo dobrą reklamą. Od niedawnego powstania Honorowego Konsulatu we Wrocławiu Słowacy mają w mieście dobrą passę. Dyrektor Narodowego Centrum Turystyki Słowackiej w Warszawie Jan Bośnović, czuwający nad całością, był dostępnym w każdej chwili, cierpliwie udzielał wszelkich informacji i służył pomocą. Joy Group Sp. z o. o., podobnie jak przed rokiem, doskonale wywiązała się z roli organizatora. Wypada czekać na dalsze roczniki tejże rozwojowej imprezy.



*Juliusz Wystouch*

## 35 LAT KLUBU „KARPATY” Nie tylko w Karpatach

**W**krótce toruńskim „Karpatom” stuknie 35 lat. Początek był w październiku 1975 r., gdy po jesiennym rajdzie w Beskidach grupa turystów związana z Oddziałem Uniwersyteckim PTTK (choć nie tylko) postanowiła zawiązać klub turystyki górskiej. Założycielami byli doświadczeni turyści, przodownicy turystyki górskiej i posiadacze odznak GOT. Przyjęto nazwę Klub Turystyki Górskiej PTTK „Karpaty”, ustalono wygląd klubowego znaczka oraz dość rygorystyczne zasady członkowska. Kandydat musiał legitymować się małą złotą odznaką GOT, a, jak wiadomo, żeby ją dostać trzeba „trochę” pokręcić się po górach. W latach 70. Klub brał stale udział w dużej imprezie – Rajdach Związkowców Pomorza, ale głównym punktem programu był coroczny Rajd „Jesień w Gorcach”. Dziś ma on stałe miejsce w planach klubu i odbywa się co roku, choć nie zawsze w Gorcach, tylko nazwa została zmieniona na „Rajd Jesienny im. Henryka Iwaniszewskiego”. W ten sposób zachowujemy pamięć o pierwszym prezesie naszego klubu, a Beskidy, Gorce? ...odwiedzamy je każdej jesieni w mniej lub bardziej licznym gronie. Czasem jest to 7 osób, a czasem 27. Od 35. niemal lat niezmiennie spotykamy się dwa razy w miesiącu, niezależnie od różnych zawirowań dziejowych, zmian personalnych w zarządzie i zmian miejsca spotkań. Przez jakiś czas Klub związany był z Oddziałem Miejskim PTTK, a od początku lat 90. jest jednym z kół Oddziału Uniwersyteckiego.

Nie tylko góry są terenem klubowych wypraw i wycieczek. Już pierwszy prezes zapoczątkował niedzielne wycieczki w pobliżu Torunia. Początkowo było ich niewiele, gdzieś od 20. lat Klub wyrusza za miasto przy każdej okazji, kiedy tylko mamy na to czas. Bywa, że takich wycieczek niedzielnych jest w ciągu roku 10-12. Wciąż



**Zimowa wycieczka pod Toruniem**



### Na garniturowej Masie Krytycznej

wprawę Zimową. Tegoroczna zima pozwoliła na wyciągnięcie nart biegowych i śladowych przydatnych na wypadach za miasto. W wyprawach górskich sporo miejsca zajmują dawne wschodnie kresy II Rzeczypospolitej, przy czym są to nie tylko wyprawy w Gorgany lub Czarnohorę, ale także krajoznawcze podróże po dzisiejszej zachodniej Ukrainie. Były też wypady w góry Rumunii, która wciąż jest na celowniku.

\* \* \*

W ciągu istnienia klubu kilkakrotnie zmieniał się skład zarządu i prezesi. Każdy zarząd i prezesi wnosili coś nowego do działalności Klubu, choć nie zawsze osiągnano zamierzony efekt. Następowaly po sobie okresy ożywienia i zastoju, jednak Klub jest aktywny, a jego członkowie zdobywają nowe doświadczenia. Życie Klubu to nie tylko wyjazdy w góry i piesze wycieczki w okolicach Torunia. Niemal każde spotkanie klubowe poświęcone jest konkretnemu tematowi, relacji z wyprawy, podróży. Nie ograniczamy się do gór, nie brak w Klubie gości relacjonujących dalekie wyprawy do Indochin, Japonii, Australii, na Kubę, czy bliższe do Anglii, w Alpy, Wschodnie Karpaty, gdzie wielokrotnie wybierali się nasi członkowie. Gośćmi Klubu byli m.in. Anna Pietraszek i Wanda Rutkiewicz, ostatnio gościliśmy Tadeusza Łaukajtysa znanego z udziału w wytyczeniu w końcu lat 60. nowej, wówczas skrajnie trudnej drogi na Mont Blanc, współautora wielu dróg w Dolomitach. Nieobce są tematy „okołogórskie”, czyli związane z górami, mowa tu o prezentacjach poezji i prozy związanej z górami, wybitnych postaci historycznych i współczesnych, a także spotkania poświęcone tematyce ochrony gór i wydarzeniom historycznym, np. 100-leciu TOPR. Współpracujemy z Muzeum Etnograficznym w Toruniu, Towarzystwem Polsko-Austriackim oraz z Centrum Dialogu Społecznego, w którego kamienicy mamy siedzibę. Aktywizacja środowiska rowerowego w naszym mieście owocuje udziałem niektórych członków Klubu w Rowerowych Masach Krytycznych i innych imprezach organizowanych przez Stowarzyszenie Rowerowy Toruń.

Choć to dopiero zima, już myślimy o jubileuszu 35-lecia. Czas biegnie szybko i ani się obejrzymy przyjdzie jesień, kolejny jesienny rajd i kolejny uroczysty jubileuszowy wieczór.

*Fot. Tadeusz Perlik*

znajdujemy ciekawe miejsca w bliższej i dalszej okolicy, ale równie chętnie wyruszamy na trasy tradycyjne, można rzec „oklepane” i zdeptane dziesiątki razy. Ustaliły się tradycyjne terminy niektórych wycieczek, np. 11 listopada czy ostatnia niedziela karnawału, coraz więcej jest dwu-, trzydniowych wypadów weekendowych w dalsze zakątki regionu. Szwajcaria Kaszubska, Wzgórza Dylewskie, Bory Tucholskie, okolice Brodnicy i Górzna, parki krajobrazowe nad Wisłą między Fordonem a Chełmnem i Świeciem to najnowsze „odkrycia” animatorów naszej działalności. Zima nie stanowi przerwy w wyjazdach, szczególnie aktywność przejawiają nasze panie udające się rokrocznie na Kobiecą Wy-



### Klubowy narybek

# KRAJOZNAWSTWO SZKOLNE W GDYNI

**W** 2009 r. obchodziliśmy 90. rocznicę ruchu krajoznawczego młodzieży szkolnej w Polsce. W Gdyni zaledwie dziewięć lat później, w 1928 r., po powołaniu Oddziału Morskiego Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego ruszyła działalność krajoznawcza z młodzieżą. Szczególne zasługi na tym polu położył prezes tego Oddziału (1930-1934) dr Teofil Zegarski – dyrektor Szkoły Powszechnej i Gimnazjum w Orłowie. Zorganizował on pierwsze kursy przewodnickie, prowadził szkolenie krajoznawcze młodzieży. Jego następcą – prof. Bolesław Polkowski, prezes w latach 1934-39, był inicjatorem inwentaryzacji krajoznawczej, która objęła region nadmorski. Prowadzono dokumentację fotograficzną i gromadzono materiały krajoznawcze naszego regionu. Nauczanie poglądowe i odbywanie wycieczek wynikało wówczas z konieczności zainteresowanie młodzieży wycieczkami i rajdami OM PTK.

Uzyskanie od władz miasta w 1959 r. (złoty jubileusz) obecnej siedziby Oddziału przyczyniło się do zaktywizowania turystyki także w środowisku szkolnym. Powstał wówczas 15.11.1959 r. Klub Turysty PTTK im. dr. Mieczysława Orłowicza, skupiający całość życia turystyczno-poznawania przez młodzież swojego regionu i kraju ojczystego. Jeśli chodzi o założenia krajoznawstwa, to niewiele się nie zmieniło do chwili obecnej. Udoskonaleniu uległy jedynie metody realizacji, związane z ogólnym postępem cywilizacyjnym, który z kolei spowodował poszerzenie oferty programowej. Hasło „od poznania do ukochania Ojczyzny” jest nadal naczelnym hasłem działalności krajoznawczej z młodzieżą. Po II wojnie światowej krajoznawstwo powoli torowało sobie drogę w działalności turystycznej młodzieży, lecz dopiero po 1953 r. zanotowano większe zainteresowanie młodzieży wycieczkami i rajdami w Gdyni. Jednakże dopiero po usamodzielnieniu się Oddziału w 1962 r. wzrosło zapotrzebowanie na wycieczki szkolne i inne imprezy turystyczne. Powstały wtedy przy Oddziale szkolne koła i kluby SKKT PTTK. Z 26 działających klubów najprężniejszymi były DREPTUSIE, WATRA, NOGA ZA NOGĄ, FREDZELKI i inne, które uczestniczyły w licznych już rajdach oddziałowych, nawet o zasięgu ogólnopolskim, m.in. Ogólnopolski Nadbałtycki Rajd Turystyczny, Rajd po Borach Tucholskich, czy rajdy związane z obroną i wyzwoleniem Gdyni.

W latach 70. ilość szkolnych kół PTTK wzrosła do 38 z najlepszymi: BAZUNĄ i WATRĄ. Największy rozkwit Oddziału i krajoznawstwa szkolnego w Gdyni przypada na koniec lat 80. W 1987 r. Oddział Morski PTTK liczył 6278 członków i ponad 60 szkolnych kół PTTK. Nauczyciele-opiekunowie SKKT PTTK zgrupowali się w swoim kole PTTK nr 22 w liczbie 125 osób. Oddział szkolił nauczycieli na kursach i warsztatach terenowych, organizował wycieczki szkoleniowe i pomagał w przygotowywaniu szkolnych wycieczek, obozów, często zagranicznych. W Gdyni Oddział zorganizował pierwsze w woj. gdańskim i jedne z pierwszych w Polsce Młodzieżowe Szkoły Turystyczne, gdzie młodzież uzyskiwała uprawnienia młodzieżowych organizatorów turystyki i społecznych opiekunów przyrody. Wymienić tu należy Ryszarda J. Wrzoska, który był pierwszym kierownikiem MST. Rokrocznie odbywały się szkolenia młodzieży, głównie na obozach wędrownych PTSM, ale także w Czechosłowacji i na Węgrzech. (3 obozy zagraniczne w roku). Załamanie w działalności turystyczno-krajoznawczej nastąpiło na początku lat 90., a zwłaszcza po oddaniu na potrzeby organizacji pozarządowych lokalu Klubu Turysty PTTK im. dr. M. Orłowicza w 1993 r. Ilość członków PTTK zmalała do 500 osób, a szkolnych kół pozostało od 20 do 30 w różnych latach. Pomimo mniejszej ilości członków liczba imprez turystyczno-krajoznawczych nie zmalała. Rokrocznie Oddział organizował ponad 400 różnych imprez, łącznie z klubowymi, dla ponad 5 tysięcy młodzieży. Najważniejsze rajdy młodzieżowe to: Rajd Gdyński „Granicami Gdyni”, Rajd „Góra Donas”, Rajd dla najmłodszych „Bolek i Lolek”, Rajd „Pojezierze Kaszubskie”, Rajd jesienny „Gdynia i okolice”, Złot prof. K. Demela, Rajd im. dr. Mieczysława Orłowicza, Krajoznawczy Mikołaj.

Ponowne ożywienie działalności krajoznawczej, także szkolnej nastąpiło od 1996 r., tj. 70. urodzin Gdyni, a następnie 70-lecia Oddziału Morskiego PTK-PTTK. Oddział zorganizował wówczas szereg imprez krajoznawczych, m.in. sesje i sejmiki krajoznawcze, a także wieloetapowe rajdy młodzieżowe, przygotowane przez Radę ds. Młodzieży, wszystko poświęcone historii, tradycji, zabytkom, przyrodzie i gospodarce Gdyni. Przy wsparciu finansowym UM Gdynia Oddział wydał historię swojej działalności z okazji 70. lat OM PTK-PTTK „70 lat zorganizowanej turystyki w Gdyni”. Gdyni, a także Oddziałowi Morskiemu PTTK poświęcony został prawie cały nr 3 z 1999 r. kwartalnika krajoznawczego „Jantarowe Szlaki”, wydawanego przez Oddział Gdański PTTK. Duża w tym zasługa redaktora naczelnego kwartalnika doc. Jerzego Szukalskiego, za co serdecznie dziękujemy.

Z 25 szkolnych klubów PTTK najaktywniejsze to PIECHOTKI z SP nr 43, WATRA z SP nr 7, WYRYPIARZE z III LO, WŁÓCZYKIJE z X LO, DREPTUSIE z XIV LO. W 2000 r. Oddział zorganizował wspólnie z komisjami i kołami PTTK 280 imprez turystyki kwalifikowanej, głównie wycieczki krajoznawcze i przyrodnicze, rajdy, złazy i obozy wędrowne dla prawie 5 tys. uczestników, głównie młodzieży i 268 wycieczek turystyki powszechnej dla ponad 5 tys. osób. Uczestnicy imprez zdobyli prawie 500 odznak turystyki kwalifikowanej, w tym krajoznawcze, przede wszystkim turystyki pieszej, nizinnej i górskiej, Turysta Przyrodnik oraz młodzieżową odznakę krajoznawczą i odznaki krajoznawcze regionalne. W działalności krajoznawczej dla młodzieży uczestniczą wszystkie komisje problemowe Oddziału i koła PTTK. Komisją wiodącą jest Rada ds. Młodzieży. Jej pracami od 1964 do 1970 r. kierowała Wanda Madey, a następnie do 1974 Renata Opalińska, do 1980 Waleria Nowakowska, do 1987 Irena Wrzosek, do 1990 Wiesław Kosakowski, do 1996 Jadwiga Liszek, Andrzej Gumowski, a ostatnio Edmund Gruchała. Komisja prowadzi szkolenia dla nauczycieli i uczniów na kursach oddziałowych. Z jej inicjatywy nowowstępujący członkowie szkolnych kół otrzymują legitymacje PTTK na specjalnie przygotowanych wieczorkach krajoznawczych w Klubie Turysty PTTK z rąk prezesa Oddziału. Po oddaniu lokalu klubowego zwyczaj ten zachował się tylko w niektórych szkołach, m.in. w SP nr 43. Do 2004 r. Komisja pod przewodnictwem Andrzeja Gumowskiego organizowała specjalne wycieczki instruktazowe dla nauczycieli. Trzeba przyznać, że zainteresowanie tego typu szkoleniem, chociaż bardzo potrzebne, jest niezadowolające. Przyczyna tkwi w tym, że opiekunowie szkolnych kół nie otrzymują wynagrodzenia za pracę z młodzieżą w dni wolne od pracy. Z pomocą finansową Urzędu Miasta Gdynia Oddział organizował warsztaty dla opiekunów szkolnych kół PTTK na bazie Zielonych Szkół. Nauczyciele otrzymali zestawy szkoleniowe z zakresu krajoznawstwa i ochrony przyrody, także dzięki pomocy Ligi Ochrony Przyrody.

Bardzo aktywnie w środowisku młodzieży działa Oddziałowa Komisja Krajoznawcza pod przewodnictwem Alicji Wrzosek. Komisja organizuje nadal szkolenia dla nauczycieli i młodzieży oraz różne konkursy, jak kronik, fotograficzny, prelekcje krajoznawcze oraz wycieczki krajoznawcze, autokarowe w regionie gdańskim i elbląskim. Komisja wspomaga organizację imprez oddziałowych dla młodzieży i sama przygotowuje imprezy okolicznościowe z okazji Światowego Dnia Turystyki i Dnia Spaceru, a także z LOP sesje plenerowe na Światowy Dzień Ochrony Środowiska. Od wielu lat Komisja była organizatorem imprez w dwutygodniowej przerwie zimowej pod nazwą „Ferie zimowe z OM PTTK” dla młodzieży pozostającej w mieście. W 2000 r. w VI edycji ferii z PTTK wzięło udział 325 uczniów z 10 szkół podstawowych, 6 gimnazjów i 8 szkół ponadpodstawowych; obecnie ilość zainteresowanych tą formą spędzenia wolnego czasu ogranicza się do kilku szkół gdyńskich. W ramach imprezy młodzież uczestniczyła w wycieczkach krajoznawczych i przyrodniczych, zwiedzano obiekty zabytkowe Gdyni i zapoznano się z pracą Morskiego Instytutu Rybackiego w Gdyni. Bardzo dużą pomoc udziela Oddziałowi b.kierownik Informacji Naukowej MIR Henryk Ganowiak, przewodnik miejski PTTK. Wspólnie z MIR Komisja i Oddział organizują dla młodzieży Rajd im. prof. K. Demela, wcześniej organizowany wspólnie z Oddziałem Helskim PTTK. Młodzież opiekuje się także grobem Demela na cmentarzu witomińskim. Z inicjatywy Komisji działała przy Oddziale Gdyńska Pracownia Krajoznawcza. Pracownia dysponowała materiałami krajoznawczymi, m.in. przewodnikami, mapami i albumami krajoznawczymi. Zasięgano tu informacji dotyczących, organizacji wycieczek, obozów i innych imprez turystyki aktywnej. Ze zbiorów pracowni korzystała głównie młodzież, potrzebująca materiałów na lekcje lub na wycieczki przedmiotowe. Od 2006 r. jej działalność została zawieszona. Z młodzieżą pracowały też inne komisje oddziałowe, jak Ochrony Przyrody, która orga-

nizowała wycieczki przyrodnicze w najciekawsze zakątki województwa, a także Opieki Nad Zabytkami, prowadząca wycieczki historyczne po Gdyni oraz ucząca młodzież szacunku do zabytków kultury materialnej.

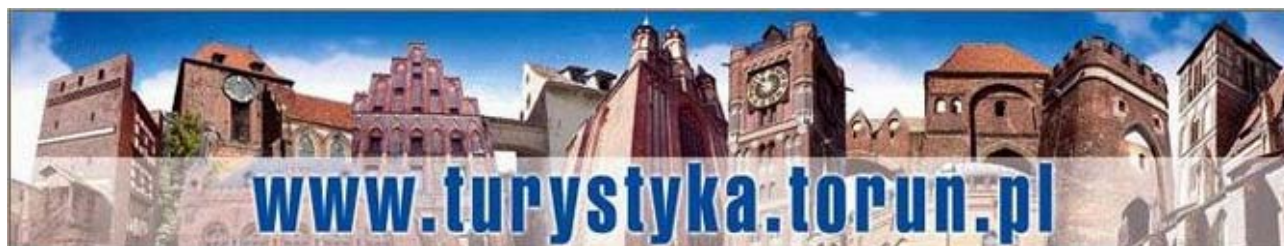
Duże zasługi w pracy z młodzieżą miała Komisja Turystyki Pieszej pod przewodnictwem Fryderyka Brodnego oraz Komisja Turystyki Górskiej pod kierunkiem Stefana Gorączki. Komisje te uczestniczyły w szkoleniu nauczycieli i uczniów, organizowały wycieczki, zloty i zjazdy oraz rajdy dla młodzieży. Od 1997 r. działała przy Oddziale komisja młodzieżowa zwana Radą Młodych. Składała się ona wyłącznie z uczniów szkół podstawowych, gimnazjów i ponadpodstawowych. Przewodniczącym Rady był Mariusz Józefowicz. Rada zajmowała się organizacją ruchu turystycznego i krajoznawczego wśród najmłodszych członków PTTK. Uczestnicząc w życiu Oddziału Rada Młodych przygotowywała własne imprezy turystyczne i prowadziła szkolenie najmłodszych. Z najciekawszych imprez Rady wymienić należy rajdy „Bolka i Lolka” oraz wycieczki krajoznawcze „Poznajemy zabytki woj. pomorskiego”. Rada zachęca uczniów do zdobywania odznak turystyki kwalifikowanej, a szczególnie odznak krajoznawczych i przyrodniczych, m.in. odznaki „Miłośnik Gdyni”, Morskiej, Ziemi Gdańskiej i „Turysta-Przyrodnik”. Niestety, Rada zawiesiła działalność. Także kluby oddziałowe prowadziły działalność krajoznawczą z młodzieżą, m.in. Klub „WRZOS”, „IK”, które organizowały wycieczki sobotnio-niedzielne. Ze szkolnych klubów PTTK na uwagę i wyróżnienie zasługiwały m.in. PIECHOTKI, przy SP nr 43, WATRA, SKKT przy SP nr 18 i 36 oraz WYRYPIARZE z III LO, WŁÓCZYKIJE z X LO i DREPTUSIE przy XIV LO oraz ŚCIEŻYNKI przy Gimnazjum nr 16 i SKKT przy SP nr 17, a także przy Katolickiej Szkole Podstawowej im. św. Rodziny.

Przed Kongresem Krajoznawstwa Polskiego w 2000 r., jak również przed nowym kongresem, który odbędzie się w 2010 r. w Olsztynie, zanotowano ożywienie działalności krajoznawczej szkolnych kół PTTK, a także powstawanie nowych klubów. Świadczy to o potrzebie pracy organicznej w szkolnej działalności krajoznawczej i o zapotrzebowaniu na tego typu działalność aktywną wśród młodzieży. Młodzież chce uczestniczyć w czynnym życiu turystycznym, brakuje jej tylko opiekunów. Kadra programowa PTTK nie jest w stanie zabezpieczyć każdej imprezy turystycznej bez wsparcia nauczycieli i rodziców uczniów. Zgodnie z przepisami bezpieczeństwa w turystyce jeden opiekun przewidziany jest na 9 uczniów. Opiekunowi SKKT przychodzi z pomocą koledzy z pracy, rodzice i kadra programowa PTTK. Duże usługi mogą spełniać młodzieżowi organizatorzy turystyki, pomagający opiekunom SKKT w prowadzeniu wycieczek. Dlatego też konieczne jest organizowanie szkoleń dla młodzieży starszych klas szkół ponadpodstawowych. Podziękowania należą się dyrektorom szkół wspierającym działalność krajoznawczą wśród młodzieży, także udostępniającym własne szkoły na mety rajdów młodzieżowych.

Oddział Morski PTTK swoim zasięgiem obejmował także szkoły w Rumi, które wspólnie z uczniami gdyńskimi uczestniczyły w wielu rajdach, obecnie należą one do Oddziału Regionalnego PTTK w Gdańsku. Należy podkreślić, że szkoły w Rumi są organizatorami własnych rajdów, z których na uwagę zasługują: wiosenny rajd „RUMIA I OKOLICE”, organizowany przez Zespół Szkół nr 1 i rajd jesienny „Ścieżkami Trójmiejskiego Parku Krajobrazowego”, organizowany przez Zespół Szkół nr 2. Wielką zasługą dyrekcji tych szkół jest włączenie do organizacji rajdów dużej liczby nauczycieli zabezpieczających imprezy. Rajdy te są dobrą szkołą turystyki czynnej. W rajdzie „Rumia i okolice”, który odbył się 8.04.2000 r. wzięło udział prawie 500 uczniów, z tego 200 z Gdyni. Mniejsze zainteresowanie notuje Ogólnopolski Młodzieżowy Konkurs Krajoznawczy „Poznajemy ojcowiznę”. Trzeba przyznać, że w 2. edycjach tego konkursu podopieczni Andrzeja Gumowskiego z SP nr 43 zdobyli wyróżnienia na szczeblu ogólnopolskim. Zaangażowanie opiekuna SKKT jest gwarancją sukcesów podopiecznych i szkoły, którą reprezentują. Na sejmiku przedkongresowym „Krajoznawstwo wśród młodzieży” (11-12.12.1999 r.) w Poznaniu otrzymał on list gratulacyjny od prezesa ZG PTTK. Wyróżnienie Andrzeja Gumowskiego zbiegło się z wydaniem przez niego i małżonkę programu „Praca wychowawcy klasowego oparta na turystyce, krajoznawstwie i wiedzy ekologicznej”. Trzeba mocno podkreślić, że od samego początku OM PTTK ściśle współdziała z władzami samorządowymi Gdyni. Do 1994 r. współpracował z Wydziałem Kultury i Sportu UM Gdynia, a potem z Wydziałem Polityki Gospodarczej, Wydziałem Edukacji i Wydziałem Ochrony Środowiska i Rolnictwa UM Gdynia. Od 1999 r. Oddział nie otrzymuje żadnych dotacji na działalność krajoznawczą z młodzieżą. Możemy jedynie występować o przydział grantów na konkretne zadanie krajoznawcze. W 1998 r. otrzymaliśmy grant na wykonanie odznaki krajoznawczej „Miłośnik Gdyni”, którą wpro-

wadziliśmy dla uczczenia 70. urodzin Gdyni i jubileuszu Oddziału. Jest ona dwustopniowa i przyznawana przez Oddziałową Komisję Krajoznawczą. W celu zachęcenia młodzieży do jej zdobywania Oddział organizuje dla uczniów wycieczki pod hasłem „Zdobywamy odznakę krajoznawczą *Miłośnik Gdyni*. Bez wsparcia samorządu lokalnego nasza działalność krajoznawcza z młodzieżą ma małe szanse powodzenia i nie dociera do wszystkich chętnych uczniów. Zazdrościmy kolegom z Warszawy, Poznania i Polski Południowej, że u nich dotacje samorządu lokalnego na działalność krajoznawczą z młodzieżą są znacznie większe niż u nas. PTTK otrzymuje tam dotacje na imprezy krajoznawcze oraz regionalne, a także na przewodnictwo, aby każda szkoła mogła skorzystać na wycieczce z fachowego przewodnika. W Gdyni robimy to społecznie i nie płacimy przewodnikom pomagającym szkołom w różnych wycieczkach po Trójmieście i regionie. Odczuwa się ciągły brak chętnych nauczycieli do pracy społecznej w krajoznawstwie, zwłaszcza po godzinach pracy w szkole, co jest zrozumiałe. Dopóki nie uzyskamy sojuszników w szkołach i samorządzie lokalnym, dopóty nasze oddziaływanie krajoznawcze na młodzież nie będzie w pełni dostateczne i skuteczne. Głównym animatorem życia tak w szkole, jak i poza szkołą był jest i pewnie długo jeszcze będzie nauczyciel-wychowawca, świadomy swej roli w procesie dydaktyczno-wychowawczym i odpowiednio przygotowany do roli organizatora turystyki i krajoznawstwa.

W działalności krajoznawczej z młodzieżą wspomagają nas bratnie Oddziały PTTK. Na podkreślenie zasługuje także współpraca Oddziału z Uniwersytetem Gdańskim, a przede wszystkim z Oddziałem Gdańskim Polskiego Towarzystwa Geograficznego. Początki tej współpracy sięgają 1968 r., kiedy to członek Zarządu tego Oddziału Ryszard Wrzosek został wyznaczony do kontaktów z OM PTTK. Wspólne sesje, prelekcje i wycieczki pod naukowym przewodnictwem profesorów UG są dobrą szkołą krajoznawstwa dla nauczycieli. Wymienić należy przewodniczących OG PTG: doc. Jerzego Szukalskiego, prof. Bogusława Rosę i obecnego – prof. Romana Gołębińskiego, którzy nie szczędzili swych sił i pomagali OM PTTK w pracy szkoleniowej. Za pomoc i współdziałanie ZG PTTK przyznał w 1998 r. w 80-lecie PTG medal dla Oddziału Gdańskiego PTG



## PIERWSZA NOWOCZESNA EKSPOZYCJA MUZEALNA W TORUNIU

Muzeum Etnograficzne zaprasza na stałą wystawę pt. **Tajemnice codzienności. Kultura ludowa i jej pogranicza od Kujaw do Bałtyku (1850-1950)**. Atrakcyjny sposób prezentacji obiektów wzbogacają liczne materiały audiowizualne, wizualizacje, dźwięki. Podobnej jakości ekspozycją nie może pochwalić się żadne inne muzeum toruńskie.

**Adres:** ul. Wały Sikorskiego 19. Muzeum **czynne:** poza sezonem (1.10 - 14.04): od wtorku do piątku w godz. 9-16, sobota i niedziela w godz. 10-16 (park etnograficzny do godz. 15). W sezonie letnim: (15.04 - 30.06): środa, piątek w godz. 9-16, wtorek, czwartek w godz. 9-17, sobota, niedziela w godz. 10-18, poniedziałek nieczynne (01.07 - 30.09): wtorek, czwartek, sobota, niedziela w godz. 10-18, środa, piątek w godz. 9-16, poniedziałek nieczynne. Wejście ostatnich zwiedzających pół godziny przed zamknięciem ekspozycji. **Ceny biletów:**

- na wszystkie ekspozycje: normalny: 14 zł, ulgowy: 9 zł, rodzinny: 25 zł,
- do Parku Etnograficznego: normalny: 9 zł, ulgowy: 6 zł, grupowy: 5 zł, rodzinny: 18 zł,
- na jedną wystawę w Arsenale: normalny: 5 zł, ulgowy: 3 zł, rodzinny: 10 zł,
- na dwie wystawy w Arsenale: normalny: 7 zł, ulgowy: 4 zł, rodzinny: 14 zł,
- na wystawę *Salonik prof. M. Znamierowskiej-Prüfferowej*: 2 zł.

**Rezerwacja** przewodników i biletów wstępu: Centrum Usługowe przy Oddziale Przewodniczym PTTK, tel./fax: 56 621 04 22, [info@turystyka.torun.pl](mailto:info@turystyka.torun.pl).

Jacek Bożek

## Bez tras, lecz z porozumieniem

**Gmina Bielsko-Biała zrezygnowała z tras narciarskich na Szyndzielni i podpisała porozumienie z Klubem Gaja w sprawie zagospodarowania stoku Dębowca.**

Gmina będzie realizować projekt „Infrastruktura rekreacyjno-turystyczna na Dębowcu w Bielsku-Białej” zamiast dotychczasowego projektu dla Dębowca i Szyndzielni. Na wylesienie terenu potrzebnego do utworzenia trasy narciarskiej „Kołowrót” na Szyndzielni nie zgodziła się Regionalna Dyrekcja Ochrony Środowiska w Katowicach. W uzasadnieniu RDOŚ zwraca uwagę, że teren jest w Specjalnym Obszarze Ochrony Siedlisk Natura 2000 „Beskid Śląski”, który został zatwierdzony decyzją Komisji Europejskiej 25.01.2008 r. uzyskując status obszaru mającego znaczenie dla Wspólnoty. Planowane przedsięwzięcie natomiast spowoduje znaczne natężenie ruchu rekreacyjno-sportowego i turystycznego, co może znacznie oddziaływać na chroniony prawem Unii Europejskiej obszar. Klub Gaja przedstawiał ten sam argument od początku ujawnienia planów inwestycyjnych względem Szyndzielni.

*Od początku podkreślaliśmy, że prawo europejskie jest przede wszystkim po stronie przyrody, a nie ekologów czy jakichkolwiek innych grup. Chcieliśmy służyć pomocą i wspólnie szukać drogi dla rozwoju tego terenu, bo nigdy nie byliśmy temu przeciwni. Czas, który można było poświęcić na rzetelną debatę społeczną z udziałem wszystkich zainteresowanych jest już nie do odtworzenia, a szkoda, bo mogliśmy wszyscy razem (leśnicy, narciarze, goprowcy, przedsiębiorcy, mieszkańcy) wymyślić coś naprawdę dobrego. Mam nadzieję, że w przyszłości aż tak źle już nie będzie. Chcemy rozmawiać i proponować rozwiązania na europejskim poziomie z korzyścią dla wszystkich.* – wyjaśnia **Jacek Bożek**, prezes Klubu Gaja.

Gmina Bielsko-Biała zawarła porozumienie z Klubem Gaja (i Pracownią na Rzecz Wszystkich Istot), które pozwala na kontynuowanie procedur administracyjnych związanych z zagospodarowaniem stoku Dębowca. Będzie ono polegało m.in. na budowie wyciągu narciarskiego (dł. 680 m), wytyczeniu trasy narciarskiej na bazie już istniejącej i przedłużeniu jej; instalacji systemu naśnieżania i oświetlania; lokalizacji całorocznej infrastruktury rekreacyjnej oraz budowie ścieżki dydaktyczno-przyrodniczej. Strony porozumienia będą współpracować podczas realizacji inwestycji w zakresie elementów proekologicznych, a gmina zobowiązała się do realizacji takich działań, jak nasadzenia, wprowadzenie strefy ekotonowej oraz zabezpieczenie gleby. Sonda na temat infrastruktury turystycznej na Dębowcu, zamieszczona na [www.szyndzielnia-debowiec.pl](http://www.szyndzielnia-debowiec.pl), jak na razie wskazuje, że internautom najbardziej podoba się... ścieżka dydaktyczno-przyrodnicza.

\* \* \*

## Święto Drzewa – podsumowanie

Siódma edycja „Święta Drzewa” Klubu Gaja przyniosła plon w postaci ponad 63 tys. posadzonych drzew i zaangażowania w program 40 tys. uczestników. Najwięcej zasadzono w woj. mazowieckim – blisko 20 tys., w woj. dolnośląskim – prawie 4 tys. i w woj. lubelskim – ponad 3 tys. Rekord pobiła Szkoła Podstawowa im. M. Konopnickiej w Leszczynie Szlacheckim (woj. mazowieckie), która potwierdziła posadzenie 16 tys. drzew i krzewów wraz z Nadleśnictwem Płock, Radą Rodziców, wójtem i radą gminy Bielsk, kołem łowieckim „Kuźnia” leśnictwem Gozdowo, strażą leśną Nadle-



### **Sadzenie drzew w Leszczynie Szlacheckim**

śnictwa Płock, przyjaciółmi szkoły i emerytowanymi nauczycielami. Drugą tak dużą ilość drzew – 14 tys., posadzono na zboczach Klimeczoka w Beskidzie Śląskim dzięki współpracy Klubu Gaja z Nadleśnictwem Bielsko oraz partnerom programu „Święto Drzewa” firmom: LeasePlan, Troton, Eco Service. Dane, zebrane na podstawie nadesłanych sprawozdań, informują, że 247 drzew zasadzono w intencji pokoju na świecie. Po raz kolejny program „Święto Drzewa” Klubu Gaja dotarł także za granicę, m.in. do Anglii, Szkocji i Argentyny, gdzie również sadzono drzewa dla pokoju. Wyniki programu zostały dopisane do wyników kampanii „Miliard drzew dla Planety” prowadzonej przez Program Narodów Zjednoczonych ds. Ochrony Środowiska.

„Święto Drzewa” to także program „Zbieraj makulaturę, ratuj konie”, który w roku szkolnym 2008/09 przyniósł wynik w postaci 377 t zebranej makulatury. Najwięcej zużytego papieru zgromadziła Szkoła Podstawowa w Szczodrzykowie (blisko 11 t), która w nagrodę otrzymała statuetkę Pegaza oraz wykonała wspólnie z Klubem Gaja i artystą Waldemarem

Rudykiem dużą rzeźbę Pegaza, która stanęła przed budynkiem szkoły. W ub. r. przeprowadzono także 18 wykładów prezentujących program „Święto Drzewa”, a materiały edukacyjne z nim związane trafiły do 4,5 tys. placówek oświatowych, instytucji, organizacji pozarządowych i urzędów w całym kraju.

## **Poleski Park Narodowy**

Utworzony został 1.05.1990 r., a położony jest we wschodniej części kraju, na terenie polskiego Polesia w powiecie włodawskim w województwie lubelskim. Dyrekcja ma siedzibę we wsi Urszulin. Projekt powstał w 1959 r. W latach 1966-1986 powstały na tym terenie cztery rezerwaty przyrody. W 1982 r. doszło do powstania Poleskiego Parku Krajobrazowego, poprzedzającego Park Narodowy. Obejmuje on tereny znajdujące się na Równinie Łęczyńsko-Włodawskiej, a na nim liczne bagna, torfowiska i jeziora krasowe oraz naturalne kompleksy leśne z bogactwem flory i fauny. W ramach Parku są następujące szczególnie cenne obszary: Durne Bagno, Jezioro Moszne, Jezioro Długie, Torfowisko Orłowskie oraz Bagno Bubnów. Jest to Park znajdujący się najbliżej Lublina. Jego flora jest bogata i obfituje w rośliny typowe dla terenów podmokłych i bagiennych. Na terenie Parku występuje 928 gatunków roślin, z których 60 podlega ochronie gatunkowej. Rodzaje formacji roślinnych są znacznie zróżnicowane i obejmują torfowiska (niskie, przejściowe i wysokie), brzeziny bagienne, bory sosnowe i olsy. Bytuje tu wiele gatunków fauny: ryby (21 gatunków), płazy (12 gatunków), gady (6 gatunków), ptaki (146 gatunków), ssaki (35 gatunków).

*Wojciech Tumidajewicz*

## **50-lecie zlotów na Wielkiej Sowie**

W tym roku mija pięćdziesiąt lat od pierwszego zlotu turystów na Wielkiej Sowie. Chciałbym prosić o przesyłanie zdjęć lub skanów zdjęć z tamtych czasów oraz wspomnień ze zlotów na adres: Oddział PTTK „Ziemi Wałbrzyskiej”, ul. M. Konopnickiej 18, 58-300 Wałbrzych lub e-mailem: [poczta@walbrzych.pttk.pl](mailto:poczta@walbrzych.pttk.pl). Jeżeli ktoś ma wolne środki finansowe, to proszę przesłać na Oddział PTTK „Ziemi Wałbrzyskiej”. Będą one przeznaczone na wydanie publikacji związanej z 50-leciem zlotów na Wielkiej Sowie.

Pozdrawiam ciepło.

Juliusz Wystouch

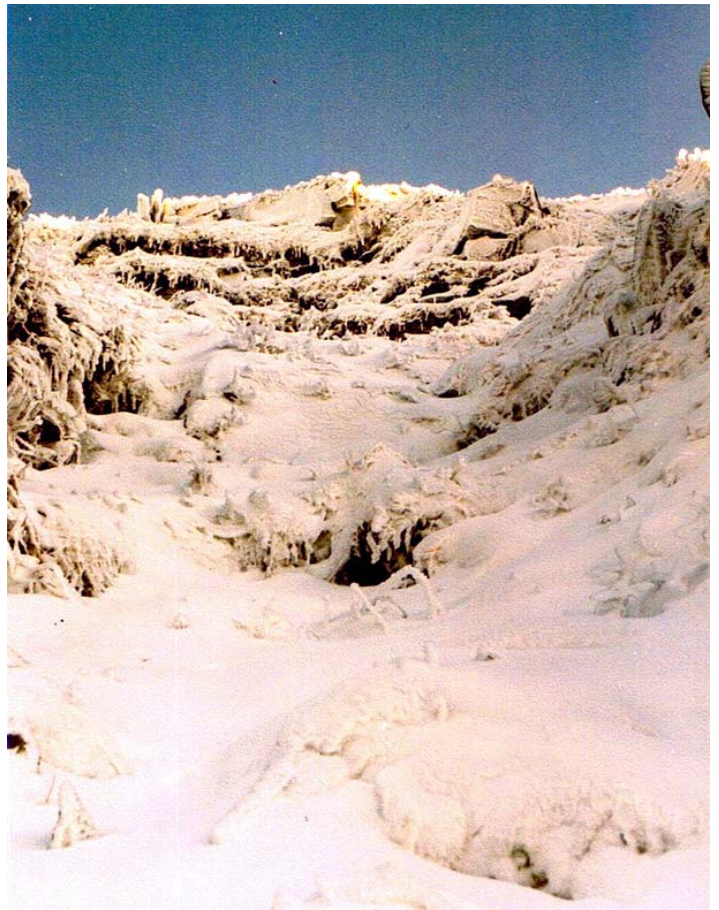
## Zima – takie same wypadki, takie same przyczyny

**Z**ima zimie nierówna – tak zaczynał się poprzedni odcinek PORADNIKA i jeszcze wcześniejszy. A tu okazuje się, że jednak te nasze górskie zimy są pod pewnymi względami podobne do siebie, a nawet powtarzalne. I nie chodzi tu o powtarzalność pogody, pokrywy śnieżnej, warunków narciarskich, frekwencji na stokach czy dochodów górali. Tu akurat bywa różnie. Od kilku lat powtarzają się wypadki lawinowe, jest ich coraz więcej, skutkują ciężkimi obrażeniami i ofiarami śmiertelnymi. Ledwo się zima zaczęła, a już są ofiary. Pod koniec grudnia (29. i 30.) dwa wypadki z udziałem wielu osób. Kilka z nich trafiło do szpitali z obrażeniami i połamaniami, dwie osoby zginęły na miejscu, trzecia zmarła w szpitalu po kilkunastu godzinach walki o życie. I to wszystko przy lawinowej „1”. To pokazuje, jak złudna jest ocena zagrożenia lawinowego. Ogłoszony był pierwszy stopień zagrożenia, który w Tatrach ogłasza się zawsze po pierwszych opadach śniegu. Niby nic wielkiego, a jednak. W Zakopanem trawa, a wysoko w górach niewielkie opady śniegu. Tyle że spadł on na zmrożone i zalodzone podłoże, które wcześniejszy halny śniegu pozbawił, w każdym razie nie było go tyle, żeby następny opad związał się ze starszym śniegiem. Powstały miejsca z nawianym luźnym śniegiem i poduchy śnieżne. W przypadku lawiny w rejonie Buli pod Rysami (30. XII) nie miały wpływ na stan śniegu miała raptowna zmiana temperatury. Poprzedniego dnia było  $-13^{\circ}$ , w dniu wypadku  $+1^{\circ}$ . Wejście kilku osób na grubą warstwę nawianego śniegu i zmiany w jego strukturze wywołało lawinę. Pewnie, że pierwszy stopień zagrożenia lawinowego może sugerować względne bezpieczeństwo w górach, jednak praktyka wskazuje, że – jak napisano w wywiadzie z Józefem Uznańskim i Janem Krupskim (toprowcy), **na lawiny nie ma mądrych**. Przekonali się o tym ci, którzy wyszli cało z opresji, w której znaleźli się, gdy nic nie wskazywało na zagrożenie.

Lawina śnieżna może zejść niemal w każdych warunkach śnieżnych, jeśli teren jest stromy, a w zagłębieniach zgromadził się śnieg. Także strome równe trawiaste zbocza to miejsca lawinowe. Nie można określić, co dzieje się w grubej pokrywie śnieżnej, z ilu składa się warstw, jak są ze sobą związane. Lawina może zejść w idealnych dla turysty warunkach. Oto  $10^{\circ}$  mrozu przez kilkanaście dni, żadnego wiatru, bezchmurne niebo, od wielu dni brak opadów śniegu i wszystko w górach zamrożone na kość. Czy w takich warunkach może zejść lawina i to niewywołana przez człowieka? Oczywiście, że może. Widziałem coś takiego na Babiej Górze, w stromym, trawiastym Jarzębinowym Żlebie. Innym razem śnieg pada przez kilka dni i góry pokrywa metr świeżego puchu, i... nic się nie dzieje. Można niemal „pływać” takim puchem, choć trzeba uważać, w jakim kierunku się poruszamy – trawersy wykluczone. Można sobie spuścić na głowę połowę zbocza. Jeżeli już, to po wypukłości terenu i z góry na dół. Ale niech tylko zaczną się wahania temperatury, o... to już jest sygnał, że nastąpią zmiany w strukturze pokrywy śnieżnej.

Pamiętajmy, że ocieplenie przyspiesza te zmiany. Śnieg staje się ciężki i może się samoistnie zsuwać ze starszej zamrożonej warstwy. Nie jest tu potrzebne dodatkowe obciążenie przez grupę ludzi. Taki ciężki śnieg ma naprawdę niszczycielską siłę. Ale nawet pojedynczy człowiek może wywołać lawinę. Spotykamy czasem śnieg podobny do płyty gipsowej. Tak płyta obciążona przez turystę może pęknąć. Pęknięcie rozrasta się, wierzchnia warstwa zaczyna się zsuwać, pęknięcie postępuje, aż wreszcie kawał zbocza „rusza” w dół zabierając po drodze coraz więcej śniegu. No i kłopot gotowy. Wygląda to nawet dość malowniczo i ciekawie się obserwuje, tylko że nie bardzo jest jak uciec przed

zbliżającą się masą śniegu. Dlatego, jeśli już decydujemy się na zimową turystykę w wyższych górach (Tatry) lub tam, gdzie istnieje realne zagrożenie lawinowe (Babia Góra, Karkonosze, niektóre fragmenty Bieszczadów), dokładnie wybierajmy szlaki zwracając szczególną uwagę na ukształtowanie terenu. Na niektórych mapach zaznaczono miejsca zagrożone lawinami. Należy wziąć pod uwagę te oznaczenia, nie lekceważyć ich. Jak wskazują przypadki z najnowszej historii, miejsca schodzenia lawin powtarzają się (rejon Buli pod Rysami), niestety, przyczyny także. Nie brak, także w Tatrach, ciekawych szlaków nadających się do zimowej turystyki i względnie bezpiecznych w optymalnych warunkach pogodowych. Przede wszystkim są to grzbietowe, a raczej graniowe szlaki Tatr Zachodnich. Jednak na grań trzeba jakoś dojść i tu nie jest już tak łatwo. Duże zagrożenie lawinowe panuje na zboczach, przez które wiodą szlaki podejściowe. Trzeba umiejętnie dobrać trasę podejścia studiując mapy i rzeźbę terenu. Wiele osób zapomina o tym i nie bierze „poprawki na zimę” myśląc, że na Rysy wchodzi się tak samo, jak latem. Nie jest tak samo i to nie tylko w wysokich skalistych partiach Tatr. Turystyka zimowa, to całkiem inna bajka i trzeba się jej nauczyć. Doświadczenia z innych niż zimowe wędrówek to tylko podstawa turystycznego rzemiosła. Całej reszty trzeba się powoli uczyć pod okiem kogoś doświadczonego. Niech nikogo nie zwiedzie myśl, że samo posiadanie raków i czekana wystarczy i zapewni bezpieczeństwo. Używania tego sprzętu też trzeba się nauczyć, a potknięcie o własne raki było przyczyną niejednego wypadku.



**Na północnym zboczu Babiej Góry**

Ratownicy TOPR w wielu wypowiedziach sugerują konieczność posiadania podczas wyjścia w góry detektora lawinowego, sondy i łopatk. Tylko że ani detektor, ani sonda, ani łopata nie zastąpią myślenia i przed lawiną nie uchronią. Osoba całkowicie zasypana ma szansę przeżycia przez 15 do 35 min. Żeby pomoc dotarła w tym czasie, trzeba zbiegu korzystnych okoliczności, o co nie jest łatwo. Takie korzystne okoliczności to obecność innych osób w pobliżu wypadku i natychmiastowe podjęcie akcji poszukiwawczej albo niezwykle szybka reakcja służb ratowniczych. To jest możliwe tylko w przypadku szybkiego powiadomienia TOPR i użycia helikoptera. A do tego także potrzebne są nieposzkodowane osoby postronne, które powiadomią TOPR oraz tzw. lotna pogoda dla helikoptera. Najtańsze detektory kosztują powyżej 400 zł, bardziej „wypasione” 1500, a noszenie w góry łopaty... no cóż, lekką aluminiową łopatkę można przytroczyć do plecaka, skoro i tak niesie się ileś tam kilogramów. Ceny łopat lawinowych zaczynają się od 230 zł, podobnie ceny składanych sond lawinowych. Zatem cena „zestawu lawinowego” w najskromniejszym zestawieniu to ok. 860 zł. Niczego nie sugeruję, wnioski pozostawiam czytelnikom.

Lawina, żeby zabić, nie musi mieć „hollywoodzkich” rozmiarów i spadać przez pół filmu niszcząc po drodze ze dwa miasta, zapórę wodną, i 1000 ha lasu. Niewielka pyłówka potrafi udusić, 200-metrowa lawina ciężkiego mokrego śniegu wprasować w podłoże, a taka „zwyczajna” połamać, zasypać, nie dać szansy na przeżycie turyście, który znalazł się na jej drodze. Jedyne, co można zrobić, to nie iść w miejsca szczególnie zagrożone lawinami, jak zrobiły to ofiary lawiny z 30. XII. Góry zimą są piękne, w wielu miejscach niebezpieczne, ale w pewnej mierze można tych niebezpieczeństw uniknąć uruchamiając myślenie i wyobraźnię.

## Co kolekcjonujemy? (2)

**W** ramach cyklu „Co kolekcjonujemy najczęściej?” postaram się to zagadnienie ukazać na podstawie wydawnictwa Podkomisji Kolekcjonerstwa Krajoznawczego z 1987 r. pt. „*Kolekcjonerstwo krajoznawcze. Rodzaje zbiorów*”, które opracowali Adam Czarnowski i Marek Wyszkowski. Jednocześnie zachęcam czytelników do opisanego swoich, nawet najbardziej nietypowych zbiorów.

Dzisiaj o **folderach**, których zbieranie zaczyna się na ogół przypadkowo, np. z okazji pobytu w obcym mieście, biurze podróży, na imprezie turystycznej. Foldery bywają czasem gromadzone wraz z innymi wydawnictwami, ale często są przedmiotem samoistnego zbioru. Przy kolekcjonowaniu folderów istnieje analogia z widokówkami. Pobudzają one przede wszystkim wyobraźnię przez atrakcyjne ukazanie uroków krajobrazów (często „egzotycznych”), zabytkowych budowli itp., przedstawionych w pięknych kolorach i z zachęcającym komentarzem; otwierają niejako przed człowiekiem szeroki świat, wyzwalając instynkt poznawczy. Do niedawna, zamiast określenia *folder*, używało się powszechnie słowa *prospekt*, co oznaczało bezpłatny druk reklamowy, ukazujący w zasadzie uroki różnych krajów, miejscowości lub tras turystycznych, albo produkty określonych firm. Folder jest określeniem stosunkowo nowym (z jęz. angielskiego) i oznacza wydawnictwo w formie składanki. Tego typu publikacje bywają również wydawane w formie broszur, a potocznie wszystkie zwie się folderami. Niekiedy foldery oprócz tekstu zawierają również szczegółowe informacje; bywają coraz częściej rozprowadzane odpłatnie. Foldery wydaje się przede wszystkim w celach propagandowych, dlatego duże znaczenie ma ich szata graficzna, dobry papier, kolorowe, atrakcyjne ilustracje oraz interesujący komentarz. Tematyka folderów jest różnorodna. Są pozycje poświęcone całemu krajowi, poszczególnym regionom, miastom, obiektom, muzeom czy hotelom. Czasem reklamują jakiś rodzaj turystyki lub imprez, gastronomię, myślistwo czy produkcję zakładu pracy. Bywają też foldery o treści problemowej, propagujące ochronę środowiska, zabytków czy jakieś aktualne zagadnienia. Krajoznawcy mogą wykorzystywać ilustracje w folderach m.in. do studiów porównawczych – terenów i obiektów w latach dawnych i współczesnych. Do tekstów należy podchodzić bardzo ostrożnie, gdyż są one redagowane na ogół ogólnikowo, z nadmiernym uwypukleniem i przewartościowaniem waleń. Czasem zdarzają się poważne błędy merytoryczne, nieścisłości i luki.

Inną dziedziną kolekcjonowania są **druki**.

Wśród wielu rodzajów druków mogą zainteresować krajoznawcę:

- papier listowy i koperty z nadrukowanymi widokami miast i obiektów, roślinami, herbami itd., często z krótkimi informacyjnymi tekstami krajoznawczymi. Mają one dużą wartość kolekcjonerską, wydaje się je w celu popularyzacji regionów, z okazji rocznic itd.,
- serwetki papierowe, chusty, torby plastikowe z drukowanymi widokami, herbami, zabytkami, czasem też z mapami okolic czy kraju,
- bilety wstępu do muzeów, obiektów zabytkowych, na wystawy i imprezy; niektóre mają nadrukowane jakieś symbole lub drobne ilustracje, bywają też sygnowane okolicznościowymi stemplami,
- bilety na przejazdy różnymi środkami lokomocji,
- małe ulotki informacyjne i propagujące tereny i obiekty,
- wizytówki.

Wspomniane druki nadają się do wzbogacania kronik oraz ilustrowania opisów tras wycieczkowych, można je powiązać z tekstem ewentualnie z fotografiami lub rysunkami dotyczącymi opracowanej trasy i wklejonymi do albumów. Każdy rodzaj druku można też traktować jako samoistny zbiór. Druki najlepiej gromadzić w kopertach lub klaserach.

## Etykiety towarowe i opakowania

Ten rodzaj zbiorów stanowi podstawę do rozszerzenia wiedzy o gospodarce kraju, o rozmieszczeniu surowców, zakładów produkcyjnych i ich zakresie działania. Etykiety i opakowania mogą być również pamiątką ze zwiedzanych zakładów przemysłowych. Omawiane przedmioty pochodzą np. z żyłek, przetworów owocowych i warzywnych, wyrobów nabiałowych (sery), konserw mięsnych i rybnych, kosmetyków (wody kolońskie, mydła) z butelek (soki, piwa), słodczy (cukierki, czekolada) i wielu innych towarów. Z etykietek i opakowań można tworzyć zbiory obrazujące określony rodzaj towarów w województwie, mieście lub w kraju, albo ukazujący kompleksowo ich produkcję. Etykiety można zbierać w klaserach lub albumach, względnie na kartonach, podobnie jak znaczki czy plakietki, opatrując je oczywiście odpowiednimi informacjami (np. o surowcach, wielkości i miejscu upraw czy produkcji itp.). Można też sporządzać plansze, uzupełniając etykiety mapkami (np. rozmieszczenia surowców lub zakładów produkcyjnych), fotografiami (jeśli wolno te zakłady fotografować) i innymi ilustracjami a w niektórych przypadkach również firmowymi folderami i małymi próbkami produkcji (np. w torebkach plastikowych) i zorganizować wystawę przedstawiającą np. „monografię gospodarczą” regionu.

Osobną uznaną dziedziną jest kolekcjonowanie etykiet zapalczanych (**filumenistyka**). Istnieje organizacja członkowska filumenistów i wiele wydawnictw z tej dziedziny. Tematyka etykiet zapalczanych jest bardzo bogata, spotykamy np.: herby miast, stroje ludowe, obiekty turystyczne, zabytki architektury, rośliny i zwierzęta chronione i wiele innych o tematyce krajoznawczej. Metody zbierania, przechowywania i eksponowania etykiet zapalczanych są podobne jak innych. Można również zbierać całe pudełka z etykietami, często bardzo dekoracyjne. Taki zbiór wymaga jednak sporo przestrzeni. Pokrewny rodzaj zbiorów to efektowne okładki do zapalek płaskich (tzw. kopertki lub buklety) przeznaczone z reguły do reklamy.

### Nalepki hotelowe

Zbieranie nalepek określone jest jako **lobelistyka**. Nalepki produkowano dawniej w postaci tzw. „kalkomanii” lub nasycano je od spodu klejem celem przyklepnięcia na walizkach. Obecnie wykonywane są coraz częściej jako samoprzylepne. Kiedyś, naklejane na kufrach i walizkach, świadczyły o turystycznych wояażach właściciela. Obecnie traktowane są najczęściej jako eksponaty do zbiorów. Warto zaznaczyć, że w 1964 r. PTTK zorganizowało „I Światową Wystawę Nalepki Turystycznej”. Bywają także nalepki biur podróży, instytucji i organizacji, a także zakładów przemysłowych – pamiątkowe, jubileuszowe i reklamowe. Zbierać je można i eksponować jak znaczki pocztowe lub towarowe etykiety.

opr. HP



Andrzej Rumiński

## Józef Mackiewicz

(1.04.1902 – 31.01.1985)

***W 25. rocznicę zgonu warto przypomnieć niezwykłą sylwetkę pisarza, którego dewizą były słowa: „Tylko prawda jest ciekawa”.***

Urodził się on w Sankt Petersburgu jako syn Antoniego i Marii z Pietraszkiewiczów. Był dzieckiem chorowitym, miejscowy klimat nie służył mu, więc rodzina przeniosła się do Wilna. Kochał zwierzęta, szczególnie ptaki. Miał kilka klatek z gilami, kanarkami, krukiem i oswojoną wroną. Podobno nawet myszy domowe jadły mu z ręki. Na Wigilię w 1912 r. dostał od rodziców trzytomową książkę „Życie zwierząt” niemieckiego pisarza-zoologa Alfreda Edmunda Brehma (1829-1884), nazywanego „ojcem zwierząt”. Będąc uczniem prywatnego, rosyjskojęzycznego Gimnazjum Winogradowa w Wilnie, chłopiec dostał od nauczycielki książkę „Priroda” rosyjskiego przyrodnika, prof. Uniwersytetu Kazańskiego, która w znacznym stopniu przyczyniła się później do wyboru studiów na Uniwersytecie. Absolwentem tego gimnazjum został brat Józefa, Stanisław Cat-Mackiewicz (1896-1966), który w latach 1922-1939 był założycielem, wydawcą i redaktorem naczelnym gazety „Słowo”, wychodzącego w Wilnie dziennika konserwatywnego, popieranego i finansowanego przez kresowe środowiska ziemiańskie, głównie przez Jana Tyszkiewicza.

Józef nie ukończył gimnazjum, bo mimo nie pełnych siedemnastu lat, jako uczeń VI klasy, wstąpił ochotniczo do wojska i jako kawalerzysta 211. pułku ułanów uczestniczył w wojnie polsko-bolszewickiej, brał też udział w obronie Warszawy. Zdał natomiast uproszczoną maturę na kursach dla byłych ochotników wojennych. Pracował w gabinecie zoologicznym Towarzystwa Przyjaciół Nauk. W 1921 r. rozpoczął studia przyrodnicze, upodobał sobie ornitologię, pracował nad uporządkowaniem zbiorów Państwowego Muzeum Przyrodniczego w Warszawie, na krótko przeniósł się do Białowieży, gdzie na polecenie prof. Janickiego porządkował zbiory miejscowego muzeum. Po powrocie do Wilna kontynuował jeszcze studia na Uniwersytecie im. Stefana Batorego.

Prof. Włodzimierz Bolecki w książce „Ptasznik z Wilna o Józefie Mackiewiczu (Zarys monograficzny)” <wyd. 2 Kraków 2007> pisze o Mackiewiczu: „(...) *Za jego pierwszy tekst literacki uważa się opis Puszczy Białowieskiej. Były już w tym artykule trzy motywy, które staną się charakterystyczne dla całej późniejszej twórczości pisarza. Po pierwsze, fascynacja przyrodą jako wytworem historii naturalnej, jej bogactwem, pięknem, skomplikowaniem a zarazem niezwykłą funkcjonalnością organizacji życia. Mówiąc dzisiejszym językiem, przyrodę (tu: Puszcze Białowieską) Mackiewicz postrzegał jako unikalny ekosystem, który jest zagrożony przez ludzi. Puszcza ginie, ponieważ niszczy ją bezmyślna, czysto komercyjna eksploatacja drewna i zwierząt oraz zdeptywanie i zaśmiecanie przez „turystów” – takie było ostrzeżenie Mackiewicza. Dziś podpisaliby się pod nim wszyscy ekolodzy. Po drugie, Mackiewicz widział puszcze jako centrum fenomenu społecznego, wokół którego zorganizowało się samorzutnie wielokulturowe życie lokalnej, wielonarodowej społeczności. Po trzecie, Mackiewicz w sposobie organizacji życia niewielkiej społeczności dostrzegał problemy całego społeczeństwa, a nawet ludzkości i stawiał jej pytanie o jej przyszłość. Po czwarte, przyroda dla Mackiewicza jest częścią ludzkiej historii i kultury – miejscem, które „pamięta” o wydarzeniach przeszłości, ukrytą mapą, na której zaznaczone są ślady indywidualnych i zbiorowych doświadczeń, zmagani i dramatów. I po piąte, przyroda była częścią świata ludzkiego, wrażliwą na wszystkie gwałtowne wydarzenia społeczne, takie jak wojny, załamania koniunktury gospodarczej, głód etc.”.*



Mackiewicz ożenił się mając 22 lata. Miłość do przyrody i ptaków przegrała jednak z publicystycznym zacięciem. Studiów nie ukończył z powodów finansowo-rodziny, ale otrzymał podobno absolutorium. Małżeństwo po kilku latach rozpadło się. W 1923 r. rozpoczął pracę w wileńskim dzienniku „Słowo”, redagowanym przez starszego brata Stanisława. Zamieszczał w nim teksty o Wileńszczyźnie, krajach bałtyckich i różnych regionach Rzeczypospolitej. Dużo wędrował po Wielkim Księstwie Litewskim, odwiedzał Polskę południową, zachodnią i centralną, w 1929 r. spędził wakacje w Hallerowie nad Bałtykiem. W 1934 r. Józef poznał dziennikarkę Barbarę Toporską, z którą związał się do końca życia. Kupili oni drewniany domek w letniskowej miejscowości Czarny Bór pod Wilnem. W 1938 r. wspominał, że przejechał koleją, samochodem, chłopską furmanką, rowerem, łodzią i w pieszych wędrówkach 26.132 km!

Po wkroczeniu Rosjan do Wilna wyjechał do Kowna, tam został internowany do obozu w Wiłkomierzu. Obawa przed ponownym aresztowaniem zmusiła go w 1940 r. do „zaszycia” się w Czarnym Borze, gdzie pracował jako drwal i woźnica. Gdy Wilno zajęli Niemcy, nieopatrznie zamieścił w wydawanym przez nich polskojęzycznym „Gońcu Codziennym” trzy czy cztery teksty. Został za to oskarżony o kolaborację i skazany na karę śmierci przez Wojskowy Sąd Podziemny AK. Wyrok miał wykonać pisarz Sergiusz Piasecki, ostatecznie po wyjaśnieniach wyrok został zawieszony przez dowództwo okręgu wileńskiego AK. Odwiedzając Wilno w 1943 r. dowiedział się, że Niemcy chcą go zaprosić do Katynia na członka międzynarodowej komisji badającej zbrodnię Sowietów. Za zgodą wileńskiej komendy Armii Krajowej został członkiem tej komisji. W tym samym roku przypadkowo był świadkiem mordu na żydach, dokonanego przez hitlerowców na stacji Ponary. W 1944 r. uciekł do Warszawy przed nadciągającymi Sowietami.

W 1945 r. z żoną Barbarą Toporską przedostali się na Zachód. W Rzymie opublikował białą księgę na temat zbrodni katyńskiej, a wkrótce potem reportaż „Ponary-Baza” o mordzie na żydach wileńskich. Zdaniem Czesława Miłosza, dopóki istnieć będzie literatura polska, dopóty te dwie relacje będą miały w niej zapewnioną nieśmiertelną pozycję. Po kilkuletnim pobycie w Londynie Mackiewiczowie przenieśli się w 1955 r. do Monachium. Pisarz krytykował „Tygodnik Powszechny”, chrześcijańskich posłów z koła „Znak”, KOR, częściowo także „Solidarność”, a nawet politykę Prymasa Wyszyńskiego wobec komunistów. Z takim podejściem do PRL-u stał się wrogiem numer jeden komunistycznej nomenklatury. Imię Mackiewicza zostało absolutnie zakazane, a polska cenzura zwalczała go jak nikogo innego. Pisarz rewanzował się zniechęconemu ustrojowi swoimi książkami: „Drogą donikąd”, w której opisał koszmar sowieckiej okupacji Litwy, czy słynną „Kontrą”, przedstawiającą losy Kozaków dońskich walczących po stronie Niemiec, a następnie wydanych Sowietom przez aliantów. „Zwycięstwo prowokacji” przysporzyło mu nowe rzesze wrogów. Wskazał w niej przyczyny ekspansji komunistycznej i poddał miażdżącej krytyce kompromis z komunistami. Gdy Mackiewicz żył na skraju nędzy, krytycy literaccy zachwycali się jego twórczością, porównując ją do dzieł wielkich klasyków literatury rosyjskiej. I tutaj kolejny paradoks – jedynymi odważnymi i obiektywnymi recenzentami twórczości Mackiewicza okazali się emigracyjni rosyjscy pisarze, którzy wysunęli jego kandydaturę do Literackiej Nagrody Nobla. Ale pisarz był zbyt kontrowersyjny, by mógł być brany pod uwagę przez szwedzką Akademię. Umarł w Monachium 31.01.1985 r., nie doczekawszy się uznania. Dziś nadal zapomniany, a przez wielu programowo ignorowany, odzyskuje powoli należne miejsce w panteonie polskiej literatury. Z pewnością przyczyniło się do tego grono współczesnych pisarzy i krytyków literackich (należą doń m.in. Ryszard Legutko, Włodzimierz Odojewski, Kazimierz Orłoś, Jacek Trznadel, Rafał Ziemkiewicz.), które co roku przyznaje nagrodę literacką jego imienia. W internecie działa 83-osobowa grupa przyjaciół jego twórczości. Do której i ja należę.

[www.groups.yahoo.com/group/mackiewicz/](http://www.groups.yahoo.com/group/mackiewicz/)

**Uwaga:** większość danych została wykorzystana z ww. książki prof. W. Boleckiego za jego zgodą.

Grzegorz Pisarski

## Nowy przewodnik po ziemi kłodzkiej

**T**en, staranny edytorsko, przewodnik uzupełnia swoim świeżym spojrzeniem dotychczasową literaturę przewodnicką o obszarze Kotliny Kłodzkiej i otaczających ją gór. Jego objętość, która wyraża się ilością pięciuset stron (licząc z okładkami), imponuje. Tutaj liczy się przede wszystkim zawartość merytoryczna, a nie – coraz częstszy obecnie – blichtr. Barwne są tylko zewnętrzne strony okładek i skrzydełek oraz 4 półarkuszowe wkładki z fotografiami cyfrowymi opisywanych miejsc, wykonanymi przez aż 16 autorów, co zapewniło niewielki ciężar obszernej książki (394 g).

Nowe opracowanie spójnie wkomponowuje się w serię wydawniczą pod nazwą „W góry z przewodnikiem Oficyny Wydawniczej REWASZ” o atrakcyjnych regionach Polski jako ich z kolei dziewiąty tom. Nie dotyczy to bowiem – podobnego graficznie – opracowania o masywie Gorganów, leżącym w Beskidach Wschodnich, ale w dzisiejszych granicach Ukrainy. Tom ten powinien bowiem trafić dokądś indziej, tj. do serii „A może na Ukrainę”. Natomiast rzadkim zabiegiem marketingowym w przypadku przewodnika o ziemi kłodzkiej było oznaczenie czasu wydania rokiem 2010, choć przewodnik zakupiłem w „Księgarni Podróżnika” we Wrocławiu już w dniu 8 grudnia 2009 r.

Zastrzeżenie budzi forma zapisu nazwy fizjograficznej „Ziemia Kłodzka”, a więc zaczynając pisanie jej komponentów dużych liter. Wyrazy określające przymiotnikowo nazwy ziem należy bowiem zapisywać z minuskuł, nie zaś majuskuł. Na okładce i stronie tytułowej, gdzie użyto samych majuskuł, było to niezauważalne, ale już w spisie treści (s. [5]-6) i tekście książki błędy widać wyraźnie.

Przewodnik Brygiera i Dziedzica jest prawdziwym wydarzeniem pod względem merytorycznym. Posiada układ, który może świetnie służyć turystom górskim i niesłusznie nie trzyma się podziału geograficznego (s. 11). *Wstęp* wyjaśnia doskonale pojęcie ziemi kłodzkiej jako ekwiwalentu dawnego hrabstwa kłodzkiego (s. [10], cenne ustalenia dla korzystającego ma krótka uwaga *Od wydawcy* (s. [12]-14) i nieocenione wprowadzenie w postaci *Geografii ziemi kłodzkiej* (s. [15]-35), w którym staraniem dwóch innych autorów aż 7 stron dotyczy geologii (s. 17-23), co stanowi ewenement w kategorii sudeckich przewodników turystycznych na skalę historii. Wprawdzie rzadko to się zdarza, ale autorzy przewodnika poprosili 10 innych autorów o napisanie zamieszczonych tekstów szczegółowych, np. Artura Galasa o rycerzach-rozbójnikach (s. 41-47), Mateusza Kapustkę o pielgrzymkach do Barda (s. 54-56), czy też Katarzynę Potocką-Brygier o Erneście z Pardubic (s. 56-58) i Mariannie Orańskiej (s. 61-64), Romana Żurawka o powodziach w 1997 r. (s. 75-76), a Marka i Joanna Furmaniewiczów o nietoperzach (s. 76-78). We *Wstępie* zabrakło zdania, które wyjaśniłoby czytelnikom, dlaczego właśnie ich poproszono o taką współpracę oraz słów należnego im podziękowania za to. Przynajmniej ich nazwiska powinien uwzględnić spis treści, a nie wzmianka na odwrocie strony tytułowej (s. [4]).

Autorzy przyjęli, ogólnie przyjmowaną w polskim przewodnikopisarstwie, konwencję, aby nie nadawać polskich form imionom i nazwiskom obcym. Wobec tego bardziej polsko brzmiące imię arcybiskupa praskiego Ernesta z Pardubic pozostawiono w formie czeskiej jako *Arnošt* (s. 56-58). Skorowidz nazwisk obfituje jednak w liczne niekonsekwencje typu *Michał Klahr – Andrea* [zamiast: Andrzej] czy *Jacobo* [Jakub] Carove (s. [483]-489). Imion wielu osób autorzy w ogóle nie ustalili albo nie w pełni, choć mogli tego dokonać bez trudu (np. *Gebhard Leberecht von Blücher*).

Solidna praca wydawnicza wymaga odnotowywania przywoływanych źródeł informacji. Można tego dokonać poprzez przypisy u dołu strony lub wykaz literatury przedmiotu na końcu książki. Jedy-nym krokiem w tym kierunku był jednostronicowy zapis pt. *Mapy i –* bardzo przydatny w obecnych czasach - *Ziemia Kłodzka w Internecie* (s. 482).

Wysoka nota należy się współautorowi, Tomaszowi Dudziakowi, zasłużonemu przewodnikowi turystycznemu Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego, od wielu lat autorowi interesujących badawczo artykułów do czasopism turystycznych, a do tego współautorowi w 2000 r. drugiej, a także - jeszcze w 1997 r. - trzeciej części „Ząbkowickich opowieści” – monografii krajoznawczej Ząbkowic Śląskich i ich okolic. Z początkiem 2010 r. też z jego udziałem ukazał się, równie ważny dokumentacyjnie, pierwszy chronologicznie, lecz drugi w numeracji rzeczowej, tom nowej serii wydawniczej Instytutu Archeologii Uniwersytetu Wrocławskiego pt. „Zamki i dwory obronne w Sude tach”. Z niepokojem będziemy wyczekiwać ukazania się t. 4, który będzie poświęcony hrabstwu kłodzkiemu i księstwu ziebickiemu. Dużą zaletą warsztatu pracy Dudziaka są bowiem nie tylko dogłębne penetracje biblioteczne, ale i dociekliwa praca terenowa z aparatem fotograficznym w ręku.

---

Brygier Waldemar, Dudziak Tomasz: *Ziemia Kłodzka. Przewodnik dla prawdziwego turysty*. Oficyna Wydawnicza „Rewasz”: Pruszków 2010, 496 s. ISBN 978-83-89188-95-3.

**Od Redakcji:** Pisownia nazwy regionu nie wydaje się być błędem i to takim dużym. Pisaliśmy o tym w 2009 r. nr e-5. Dużych liter używa też choćby „Popularna encyklopedia Ziemi Kłodzkiej”.

.....

Krzysztof R. Mazurski

## Przewodnik po Głogowie

Jedna z kwitnących stolic piastowskich nad Odrą, zamieniona przez Prusaków w twierdzę, która na dziesięciolecia zahamowała rozwój miasta, doznała tragicznego losu w 1945 r., gdy z kolei hitlerowcy uczynili tu jeden z najważniejszych punktów obrony przed Armią Czerwoną. Konsekwencją stało się niemal całkowite zniszczenie miejscowości, a z przepięknej starówki niewiele co ocalało. Od ćwierćwiecza ta część Głogowa jest interesująco przywracana życiu, przy czym nie są to dosłowne rekonstrukcje, lecz całkiem udane stylizacje. Mimo owej wojennej katastrofy ocalało tu nieco zabytków i to niezłej klasy z piastowskim zamkiem na czele. Część z nich, jak choćby wspaniała kolegiata, poddawana jest nadal odbudowie.

Ciekawa przeszłość i walory zabytkowej architektury powodują, że co pewien czas ukazują się przewodniki umożliwiające poznanie Głogowa. Układają się one w pewien rozwojowy ciąg: Janusza Chutkowskiego, autora tego tekstu i wreszcie kolejnego znawcy – Antoniego Boka. Każdy z nich zawiera coraz więcej konkretnych informacji i coraz wiarogodniejszych dzięki postępującym badaniom. Linie rozwojową wyznacza też coraz wyższy poziom edytorski. Pozycja teraz prezentowana, w lakierowanej okładce z mapkami na odwrocie, zawiera liczne kolorowe fotografie i inne ilustracje, co zachęca do obejrzenia opisywanych obiektów i miejsc. Nowocześnie skomponowany przewodnik, o wygodnym, kieszonkowym formacie, zwraca nadto uwagę na liczne ciekawe zabytki, rozmieszczone w bezpośrednim sąsiedztwie miasta. Nic, tylko wybrać się do Głogowa, by praktycznie przekonać się o przydatności pozycji, ale przede wszystkim zanurzyć się w tę urokliwą przestrzeń!

I na koniec rewelacja: rzecz wydano z... 1% odpisu podatku na rzecz wydawcy! Znakomity przykład dla innych.

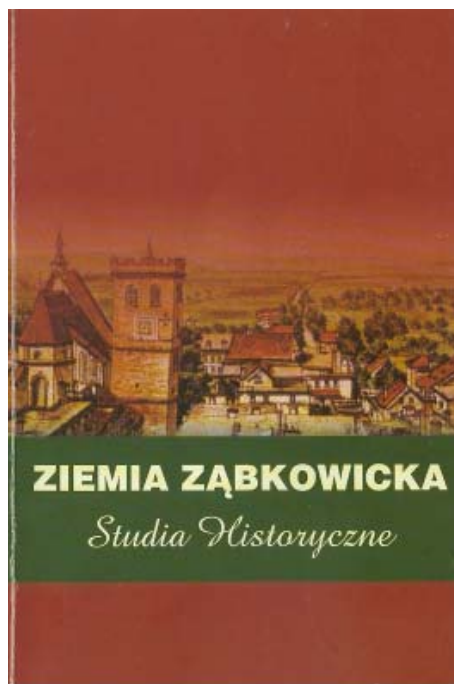
---

Antoni Bok: *Głogów. Przewodnik*. Głogów: Towarzystwo Ziemi Głogowskiej 2009, 96 s.



## Z regionalnej półki bibliotecznej

**P**owojenny dorobek piśmienniczy ziemi ząbkowickiej na tle powiatów ościennych nie wygląda imponująco. Przede wszystkim brak jest cyklicznego periodyku w formie rocznika. Dla porównania – w Kłodzku od 1948 r. ukazuje się *Rocznik Ziemi Kłodzkiej* (pierwszy tom zredagował nie kto inny, tylko Wojciech Walczak). Od niedawna, bo od 2005 r. na rynku jest *Almanach Ziemi Kłodzkiej* pod red. Krystyny Oniszczyk-Awiżeń. Dochodzą do tego *Zeszyty Muzeum Ziemi Kłodzkiej* znane od 1985 r. Tymczasem bibliografia przedmiotowa Ząbkowic Śląskich i okolicy ogranicza się raptem do kilkunastu książek. Sprawę próbuje ratować znany ząbkowicki autor, redaktor i wydawca w jednej osobie, Jerzy Organiściak. Pod koniec 2009 r. jego firma <Wist> opublikowała ostatni regionalik zatytułowany „Ziemia Ząbkowicka. Studia Historyczne”. Zawarte tam szkice (bo tak nazwałabym formę literacką zawartości tomu) są plonem dwóch pierwszych konferencji popularno-naukowych, które zorganizował on ze szczupłym zespołem współpracowników w Ząbkowicach Śl. w latach 2007-2008. Najpierw okazją była niezupełnie „okrągła” rocznica 720-lecia miasta. W następnym roku stało się nią 150-lecie kolei na ziemi ząbkowickiej. Stąd tematyka prezentowanego tomu zawiera się



w paru obszarach. Książkę otwiera praca nieżyjącego już niemieckiego regionalisty, F. Toennigesa, którego referat na konferencji w 2007 r. był jednym z jego ostatnich publicznych wystąpień. Przedstawił w nim postacie najbardziej zasłużonych ząbkowiczank sprzed 1939 r. Ząbkowicka dziennikarka, E. Pazdioara przypomniała dzieje kultu trzech dominikanów, którzy zginęli z rąk husytów w 1428 r. i których relikwie czczone są tu niemal od okrutnej śmierci. Niezwykły, wzbudzający jednocześnie strach i odrazę zawód katar przedstawił D. Wojtucki. Miasto w czasie epoki napoleońskiej opisał A. Olejniczak. J. Organiściak skupił się na urbanistyce Ząbkowic Śl. w połowie XIX w. W pewnej mierze są to wątki znane z dotychczasowych zainteresowań autora. Ale ponieważ tamtych wydawnictw już dawno nie ma na rynku, a wyrosło nowe pokolenie odbiorców dobrze, że szkic o tym mieście znalazł się w omawianej pracy. Bardzo ważny, a mało znany jest wątek przedwojennego ruchu turystycznego w regionie. T. Przerwa napisał swój referat z dużą znajomością rzeczy i po prostu ciekawie. Widać, że zgromadził ogromny materiał badawczy, będący *nota bene* podstawą pracy doktorskiej T. Przerwy. Na podstawie pracy magisterskiej klaryski s. M. Tołyż powstała część poświęcona właśnie tym zakonnicom i ich klasztorowi.

Trzy referaty z konferencji 2008 r. mają za temat rozwój kolei na ziemi ząbkowickiej (P. Dominas, T. Przerwa, R. Witkowski). Czyta się wszystkie z wielką uwagą. Tym więcej, że świadkowie (czyt. pasażerowie) tamtych szlaków jeszcze je pamiętają. W końcu kolej o znaczeniu powiatowym przestała funkcjonować już w nowej Polsce, na początku lat 90. A zębata sowiogórska jeszcze wcześniej, w 1931 r. Jakimż rarytasem turystycznym obie nitki byłyby dzisiaj?! W tym momencie zasadne jest pytanie: czy w perspektywie historycznej, bezwzględna aktualna ekonomia zawsze musi mieć rację? Można sobie wyobrazić tłumy turystów (i zwykłych ciekawskich) okupujące dzisiaj wagony kolei ZĘBATEJ łączącej Srebrną Górę z Woliborzem (Góry Bardzkie/Sowie). Związany ze Złotym Stokiem E. Salwach zaprezentował historię złotego – jakby nie było – pieniądza Karola I Podiebradowicza. Wielce ciekawym szkicem jest praca H. Sławca poświęcona kamieniom granicznym dawnego księstwa biskupów wrocławskich na styku z księstwami ziębickim i brzeskim. Do naszych czasów zachowało się sześć takich milczących znaków granicy. Dla koneserów tematu to prawdziwa gratka. I wreszcie dwa szkice, czasowo zakotwiczone we współczesności. Najmłodszy z zespołu autorskiego

tomu, K. Pawłowski (uczeń gimnazjum!), mieszkaniec Ciepłowod, przygotował szkic poświęcony najcenniejszemu obiektowi wsi, kościołowi datowanemu na 1318 r. Pewnie z uwagi na wiek autora nie udało mu się uniknąć braku obiektywizmu w ocenie znaczenia roli kościoła w życiu mieszkańców. Drugi ze współredaktorów tomu, B. Grygorcewicz, od paru tygodni doktor nauk humanistycznych UW, ząbkowiczanie z urodzenia i zamieszkania, dał wyraz swojemu dotychczasowemu zainteresowaniu naukowemu dziejami przemysłu w regionie. Tym razem uwagę skupił na fabryce prochu w Mąkolnie. Ostatnią częścią książki jest praca M. Dziedzica „Bibliografia Ząbkowic Śląskich”. Na pozór wygląda imponująco. Przy bliższym przyjrzeniu się ujawniają się przede wszystkim wydawnictwa niemieckie, głównie przedwojenne, oraz prace o charakterze albo ogólnym, albo zakresem obejmującym Śląsk. Tak, że nie bez kozery napisałam na początku, iż przedmiotowa bibliografia Ząbkowic Śl. jest – jak na miasto powiatowe – bardzo szczupła.

I na koniec – mimo uznania i sympatii do autorów tomu – parę uwag krytycznych. Także w nawiązaniu do tego czasopisma NA SZLAKU (2009 nr 5). Otóż nie mogę przyjąć za dobre rozwiązanie... tytułu książki. Redaktorzy tomu zatytułowali swoją książkę „Ziemia Ząbkowicka. Studia Historyczne”. Może z mojej strony to zbyt przywiązanie do szczegółów, ale uważam, że wystarczyłoby „Ziemia ząbkowicka. Studia historyczne” z pominięciem tego współczesnego zadęcia rodem z kultury anglosaskiej, żeby wszystkie słowa pisać z użyciem dużych liter. Dalej – niektóre partie książki noszą dosłownie znamiona szkicowości. I całe szczęście, że w przedmowie redaktorzy proszą o wyrozumiałość w tej materii pisząc, że to „pierwsze próby publicystyczne”, nie do końca udane, nie do końca napisane obiektywnym językiem naukowym. Szczególnie w częściach związanych z historią Kościoła katolickiego. Jakoś tak jest u nas w kraju przyjęte, że publicystyka okołokościelna musi być pisana „na kolanach”. Niekoniecznie. Mimo tych – nieuniknionych przy tego rodzaju wydawnictwach – paru negatywów najnowsza książka poświęcona ziemi ząbkowickiej jest bardzo cennym punktem dorobku edytorskiego zarówno J. Organiściaka, jak i... pow. ząbkowickiego w rozumieniu krainy geograficzno-historycznej. Może zaczątkiem powiatowego rocznika? Jesienią 2009 r. miała miejsce trzecia konferencja; tym razem poświęcona górnictwu, w której to dziedzinie powiat odegrał ważną rolę. Została stworzona następna okazja opublikowania materiałów.

---

*Ziemia Ząbkowicka. Studia Historyczne.* Red. Bartosz Grygorcewicz, Jerzy Organiściak. Ząbkowice Śląskie: Agencja Reklamowo-Handlowa „Wist” 2009.

.....

**Webmaster**

## Statystyki serwisu \*Na Szlaku\*

W dniu 4.12.2009 r. założone zostały statystyki dla strony głównej. Do końca miesiąca naliczyliśmy 735 odsłon. Od 2 stycznia br., wraz z nowym designem serwisu, rozpoczęliśmy prowadzenie statystyk także na podstronach serwisu. Oto ich krótkie podsumowanie.

Strona główna: grudzień 2009 – 735 odsłon, styczeń 2010 – 1382 odsłony. Cały serwis w styczniu: w sumie było 2529 odsłon, najwięcej – 165 odsłon było we wtorek 5., najmniej – 41 odsłon było w piątek 15. - chyba większość Czytelników świętowała 20. urodziny Radia RMF FM ;-). Daje to średnio 81 odsłon dziennie. Odnotowaliśmy wejścia m.in. z takich krajów, jak Niemcy, Czechy, Irlandia, Federacja Rosyjska, Francja, Norwegia, Austria, Holandia, USA, Jordania. Ponad 71% wszystkich wejść jest z terenu Polski, gdzie przoduje Wrocław z prawie 22%. Natomiast najlepszy „wynik” wśród województw, prawie 27% uzyskało woj. dolnośląskie.

Systemy operacyjne: tutaj prym wiedzie Windows XP – ponad 81%, a wśród przeglądarek – Firefox z wynikiem 39%. Jeżeli chodzi o rozdzielczość monitora, to są dwie, które mają prawie identyczny wynik (ok. 24%), mianowicie – 1152x864 i 1024x768 px.

Największy „ruch” panuje na stronie z nowym numerem czasopisma – 529 odsłon, następnie: nasze komunikaty – 281 odsłon, archiwum – 262 odsłony i galeria – 202 odsłony. Jak do tej pory, pomysł z Księgą Gości można uznać za niewypał: 4 wpisy i 10 komentarzy.

Krzysztof R. Mazurski

## Ku pamięci Tadeusza Stecia



**C**hcąc nie chcąc, zostałem wyrwany przez Jerzego K. Bieńkowskiego (**czytaj następny tekst**), acz anonimowo, do tablicy, jako że to ja właśnie zakwestionowałem i nadal kwestionuję zasadność nazwania Przełęczy pod Wido-kiem imieniem tej swoistej legendy Sudetów – Tadeusza Stecia. Otóż jak najbardziej popieram pomysł jego upamiętnienia – także znałem Stecia i uważam jego zasługi dla przyswajania śląsko-czeskich gór polskiemu społeczeństwu za ogromne i niepodważalne. Jestem tedy i za nazwaniem szlaku żółtego, i za tablicami, i innymi formami przekazywania wiedzy o tej oryginalnej i barwnej postaci.

Wszelako nie mogę przyjąć kontrargumentów, wysuniętych wobec moich zastrzeżeń przez Bieńkowskiego, które przypominają trochę groch z kapustą. Otóż nazwy osobowe faktycznie się obejmują różne ich rodzaje, jak dzierżawcze (wskazujące na przynależność jakiegoś terenu do konkretnej osoby), pamiątkowe (swoiste terenowe „pomniki”, jak Wzgórze Krzywoustego), zawodowe (Garncarska, Kowalska itp.) i inne. Otóż o ile w polskiej tradycji nazewniczej te pierwsze występują, jak choćby Hala Gąsienicowa, ale tylko w Beskidach i Tatrach z uwagi na zasiedloność polskiej ludności w tamtych górach. Z oczywistych względów polskich nazw dzierżawczych w Sudetach nie ma, a do takich kwalifikowałaby się *Steciowa Przeleęcz*. Tymczasem Tadeusz nie był posiadaczem gruntów w tych górach! W tym sensie byłoby to niezgodne z polską tradycją (młoda, bo młoda, ale jednak już ponad sześćdziesięcioletnią tradycją). Co innego z nazwą pamiątkową, ale wtedy Przeleęcz Stecia. I tu znowu niezgodne z tradycją, choć niedawno niektórzy jeleniogórscy politykierzy takie coś chcieli zafundować. Co jest, to jest i niech tak już zostanie, ale po co wprowadzać nowe? Na obiekty fizjograficzne o naturalnym charakterze, na górę, przeleęcz, potok. Na ścieżkę, szlak – może być, bo to wytwór antropogeniczny. A zamek Bolków nie jest obiektem fizjograficznym, prawda? Mieszanie do tego wzorców czeskich, tym bardziej niemieckich (zresztą do XIX w. niemiecka toponimia obejmowała chyba wyłącznie nazwy dzierżawcze i zawodowe oraz podobne, a nie pamiątkowe), nie jest dobrym pomysłem.

Tyle polemiki, bardzo specjalistycznej, więc żeby nie nużyć czytelników, nie będziemy tego kontynuować na niniejszych łamach.

\* \* \*

Akurat w trakcie szykowania niniejszego numeru ukazał się ciekawy artykuł, którego autor z jednej strony demaskuje bzdury pisywane i rozgłaszane o Tadeuszu Steciu – słusznie uchodzącym już za legendę Sudetów, z drugiej przypomina lub ujawnia niektóre fakty z jego życia. W świetle materiałów Przemysława Semczuka (*Newsweek* 2010 nr 3 s. 28-30) tacy autorzy, jak Jerzy Rostkowski (książka o Radomierzycach) czy Henryk Piecuch – mitoman i twórca taniej sensacji, jawią się jako blagierzy i biada tym, którzy im uwierzą. To po prostu zwyczajne kłamstwa, jako że ich „utwory” to nie beletrystyka, ale relacje rzekomo autentycznych wydarzeń i rozmów. Łatwy zarobek na nieżyjącej osobie! Zasadniczym faktem jest to, że Steć w 1945 r. był nowicjuszem o benedyktynów w Tyńcu, a dopiero w następnym roku przyjechał do Trzcianki, gdzie jego matka otrzymała gospodarstwo rolne - co wszystkim, rzeczowo tym się zajmującym, było wiadome od dawna. Wygląda na to, że do turystyki młody, liczący zaledwie 21-22 lata człowiek trafił dość przypadkowo. Pomogła mu w tym znajomość niemieckiej i dostęp do regionalnej literatury w tym języku, na czym w dużej mierze wyrosła jego legendarna wiedza o Karkonoszach. Semczuk pisze także o tym, że sprawą zabójstwa w 1993 r. ponownie zainteresowała się prokuratura. Warto jednak ten artykuł przeczytać w całości.

# UPAMIĘTNIANIE TADEUSZA STECIA

**N**ie ukrywam, że poniższy tekst napisałem pod wpływem dyskusji, jaka wywiązała się na byłym forum internetowej strony ZG PTTK pod wątkiem „*czasopisma turystyczne*”. Zaczęło się od pytania ‘Janka Nowaka’ z 21.10.2009 r., dlaczego PTTK nie udało się uczcić T. Stecia, co spowodowało, że dyskusja z czasopism zesłała na ten temat. Każda wypowiedź coraz ciekawiej drażyła zagadnienie. Ponieważ przyczyną tej dyskusji stał się mój ubiegłoroczny artykuł opublikowany na tych łamach w październiku, zrozumiałem, że jest to problem, który należy potraktować szerzej. Dlatego jeszcze raz przypomnę, że na łamach papierowego wówczas „Na Szlaku” w nr 4/2000 umieściłem artykuł ‘Zwierzenia odkrywcy’, w którym opisałem okoliczności poznania T. Stecia i sformułowałem myśl jego upamiętnienia. Dlaczego wybrałem Przełęcz pod Widokiem? Na to pytanie odpowie sam T. Steć, który w przewodniku *Sudety Zachodnie* (II wyd. z 1965 r.) na str. 109 tak sformułował problem terenowy: *Widok niesłusznie bywa nazywany przełęczą; przełęcz, oddzielając Łysą Górę i Chrośnickie Kopy od reszty głównego grzbietu leży kilkaset metrów na wsch. i jest od Widoku o 31 m niższa*. Było to pierwsze w literaturze krajoznawczej przeciwstawienie się nazywaniu Widoku przełęczą. Mięło 45 lat, wyrosło nowe pokolenie i jest jak było, bo z głupotą nikt jeszcze nie wygrał. Nawet uznane wydawnictwa (z litości nie będę cytował!) informują o ‘Przełczy Widok’, a co dopiero przewodnicy autokarowych wycieczek, którym nawet nie chce się wsiąść. Może więc ta Steciowa Przełęcz pobudzi zwiotczałe umysły do życia i konkluzji, iż dwie przełęcze obok siebie to chyba nadmiar szczęścia!

W dyskusji na forum bardzo trafnie wytknięto, że uhonorowanie T. Stecia i J. Boruckiego tablicami pamiątkowymi na symbolicznym cmentarzyku ofiar gór w Kotle Łomniczki pod Śnieżką jest nieporozumieniem i wręcz nietaktem wobec prawdziwych ofiar gór, tj. ludzi, którzy stali się ofiarami górskich wypadków lub zginęli w górach niosąc pomoc innym. Oczywiście, że pretensje należy kierować pod adresem pomysłodawców i wykonawców tego przedsięwzięcia, wywodzących się z kręgu GOPR, gdyż zmarli w niczym tu nie zawinili. Mam nadzieję, że w tej sytuacji Dyrektor KPN okaże się prawdziwym mężczyzną i rąbnie wreszcie w biurko pięścią z okrzykiem: *kto tu rządzi!* Prosimy jednak o czyny, a nie wyłącznie o okrzyk, gdyż szarogęszenia się na terenie KPN jest ostatnio nadmiar. W dalszej dyskusji na forum sygnięto gradem pomysłów ‘jak uczcić Stecia’. Świadczy to, iż temat jest bliski i aktualny w środowisku dolnośląskim i nie tylko. Nie będę napadał na autorów za to, że mają inne zdanie, chociaż przyznam, że przypadł mi do gustu pomysł J. Czerwińskiego, który zreferował J. Potocki. Jest to propozycja nazwania szlaku żółtego Jelenia Góra – Karpacz Górny imieniem T. Stecia. J. Potocki proponuje, aby przy okazji przedłużyć go aż do Słonecznika, a ja sugeruję, by również w drugą stronę przez Borowy Jar, Gryfów Śl. i Leśną, aż do Zawidowa. Borowy Jar jest ze Steciem związany w szczególny sposób. Nie chodzi bynajmniej o pierwszy polski przewodnik tego rejonu z 1959 r., ale o... nazwę. Nie wszyscy wiedzą, że urzędowa nazwa tego przełomu brzmi: Bobrowy Jar! Nigdy nie została anulowana! Oczywiście powinno być: Bobrzański Jar. Steć pierwszy zauważył gafę i wykazał się znakomitym jak na tamte czasy sprytem wydając broszurę pt. „Wieża rycerska w Siedlęcinie przez Borowy Jar i Perłę Zachodu” i umieszczając nazwę ‘Borowy Jar’ jako ‘kontrolowaną pomyłkę’ i powtarzając ją na III wydaniu mapy ‘Karkonosze’ PPWK (1962). Nazwa przeszła przez cenzurę i natychmiast nabrała ‘mocy urzędowej’. Dzisiaj nawet do głowy nie przyjdzie nikomu, aby ją kwestionować. Przy tak wyznaczonym szlaku jest aż za dużo miejsc, gdzie można przenieść nieszczęsną tablicę z karpackiego cmentarzyka. Ja wyobrażam sobie, że to jednak będzie skałka. Tadeusz Steć był merytorycznie związany z całymi Sudetami Zachodnimi i myślę, iż w każdym mezoregionie znajdzie się coś, co nam Go przypomni. Jeżeli chodzi o proponowane schronisko, to przede wszystkim ‘Szwajcarka’, którą sam krótko prowadził, a potem przekazał Matce. W schronisku wystarczy rozszerzony życiorys Stecia i Jego zdjęcie. Chodzi bowiem o różnorodne formy upamiętnienia, a nie tylko tablice. A co do mojej propozycji (Steciowa Przełęcz!) i wypowiedzi, że będzie to ‘absolutnie niezgodne z tradycją nazewnictwa sudeckiego’, muszę wyjaśnić autorowi, iż nie wiem, ‘co wyrabia się w Beskidach’, natomiast dobrze wiem, ‘co wyrabia się’ w Sudetach Zachodnich od kilkuset lat. Wbrew pozorom sudeckie nazwy terenowe (nie mówiąc już o miejscowych!) są bardzo często odosobowe i to zaczynając od czasów, kiedy pisano jeszcze łaciną, przez języki czeski i niemiecki, aż po współczesną polszczyznę. I zawsze było tak samo, ponieważ to człowiek najbardziej

wpływa na góry i ich przyrodę. Oto kilka przykładów polskich: Blizbor, Dobrzyca, Góra Mikołaja, Góra Heleny, Marciniec, Mikuła, Przełęcz L. Różyckiego, Radziej, Radziwiłłówka, Stachówka, Sobiesz, Stanek, Ścieżka św. Jadwigi, Śnieżka, Witosza, Wzgórze Krzywoustego (nazwy złożone mają charakter mieszany). A teraz przykłady niemieckie: Arns-B., Bismarckhöhe, Charlottenberg, Dorpicht-Gr., Erlich Wiese, Exners Kiefern, Jachel-B., Katharinen-B., Kутten-B., Menzel-B., Nicolin-B., Ottilien-B., Otter-B., Ressels-B., Scheer-B., Sebastianstein, Wilhelms Höh, Valerien Höhe. Oczywiście, że jest to raczej próbka niż pełny wykaz. Świadomie pominąłem nazwy czeskie, gdzie niemal co czwarta nazwa ma charakter odosobowy, ponieważ nasi przyjaciele szczególnie w tym gustują.

Terenowe nazwy odosobowe, a dokładniej: nazwy powstałe od indywidualnych nazwów ludzi, najczęściej występują w formie dzierżawczej, co zawsze związane jest z własnością jakiegoś obiektu topograficznego: łąki, stawu, lasu, góry czy pola. Dlatego nazwę urobiono od imienia, nazwiska czy przydomka właściciela. Niekiedy mają charakter zawodowy: Hammer Teich, Karczmarz, Schuster Wiese, Bäcker-B., Zielarz, a bardzo rzadko rodowy: Dobschütz Wald, Prittwitz-B. Nazwy obrazują również działalność człowieka. Ponieważ ilustrują ludzką kulturę duchową, materialną i prawną, nazywane są nazwami kulturowymi. Niektóre z nich występują również wśród nazw terenowych. Głównie nazwy pamiątkowe upamiętniające ludzi zasłużonych: Blücher-Höhe, Bismarckhöhe, Wzgórze Krzywoustego, Zamek Bolków (tutaj kwalifikuje się nazwa Steciowa Przełęcz). Poza tym nazwy przydomkowe typu: Kuropas, czy duchowe: Ścieżka św. Jadwigi, Dudziarz, Guślarz, Diana Quelle, Janus-B. Ten krótki i niekompletny kurs ma tylko zilustrować zasadność mojej propozycji. Jak jest naprawdę z terenowymi nazwami odosobowymi w Sudetach, może czytelnik osądzić teraz sam. Poza tym jeszcze jedna uwaga; nazwiska typu Steć, Stec pochodzą od ścieżki (stecka) i jak najbardziej wpisują się w górski krajobraz.

Pozostaje jednak rozważyć w jaki sposób ma upowszechnić się nazwa 'Steciowa Przełęcz'? Mamy dwie drogi. Pierwsza nieformalna, czyli jako nazwa potoczna. Wystarczy, że pojawi się na kolejnej mapie Gór Kaczawskich. Przypuszczam jednak, iż prędzej Jerzy Urban zostanie kardynałem niż Wydawnictwo 'Plan' ośmieli się na taki krok. Druga droga formalna, czyli jako nazwa urzędowa. Obiekt znajduje się na terenie gm. Świerzawa w pow. złotoryjskim i zgodnie z Ustawą z dnia 29.09.2003 r. o urzędowych nazwach miejscowości i obiektów topograficznych (o której pisałem w grudniu ub. r.) wniosek w tej sprawie składa Rada Gminy. Nie zrobi tego jednak z własnej inicjatywy z uwagi na okoliczności (Steć mieszkał na obszarze Jeleniej Góry). Dlatego decydujący ruch należy do Oddziału PTTK w Jeleniej Górze, gdzie Steć przynależał. Tymczasem Oddział w tej sprawie milczy od dziesięciu lat i błędne koło zamyka się. Rzeczy najprostsze zawsze są najtrudniejsze. Przecież wiecie i rozumiecie!



„Na Szlaku” – miesięcznik turystyczno-krajoznawczy.

Czasopismo Oddziału Wrocławskiego PTTK,  
odznaczone Złotą Honorową Odznaką PTTK.

Redaktor Naczelny: **Krzysztof R. Mazurski**

Sekretarz Redakcji: **Andrzej Rumiński**

Zespół Redakcyjny: **Wojciech Radliński**

Redakcja techniczna, łamanie i opracowanie graficzne: **Piotr Dacko**

Stale współpracują: **Henryk Paciej, Juliusz Wysłouch**

Adres Redakcji: Rynek-Ratusz 11/12, 50-106 Wrocław, tel. 71 343 03 44

**ISSN 1230-9931**



Redakcja zastrzega sobie prawo adiustacji tekstów, przyjmowanych wyłącznie w formie elektronicznej. Materiałów nie zamówionych Redakcja nie zwraca i nie stosuje honorariów za opublikowane. Przedruki tylko za podaniem źródła. Umieszczanie banerów na stronie domowej magazynu i reklam wewnątrz numerów na odrębnie uzgadnianych zasadach.

Za treść reklam Redakcja nie odpowiada.

Redakcja będzie wdzięczna za wpłaty w formie darowizny na dobro czasopisma dokonywane na konto Oddziału Wrocławskiego PTTK w BZ WBK SA Oddział Wrocław nr 19 1090 2398 0000 0006 0827 5667 z zaznaczeniem „Na Szlaku”.

Drukowane numery archiwalne (w miarę posiadania) do nabycia w Oddziale Wrocławskim PTTK.